

Wpisano do kontroli periodyków
19 Rejonowej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych
Dn. 16 IV 1960

ZAMIAST PÓŁ LITRA KUP RODZINIE 38 EGZEMPLARZY „ODGŁOSÓW“

KOMU

pisankę

odgłosy

a ot
rodzynki
w
numerze

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ, 17-18 IV 1960 r.

Nr 15 (111)

Cena 1 zł

KOMU

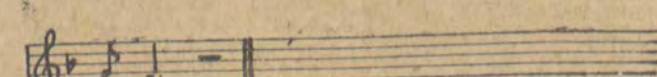
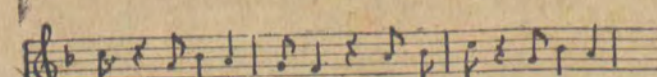
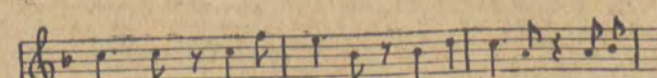
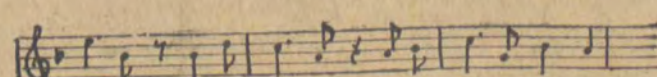
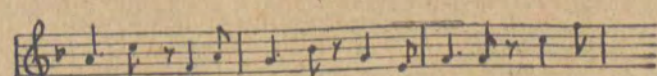
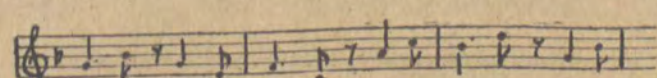
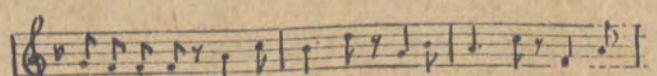
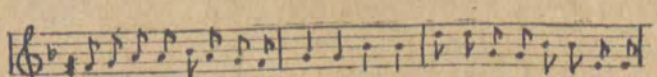
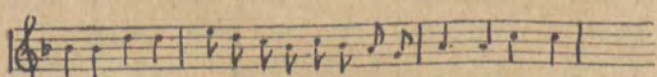
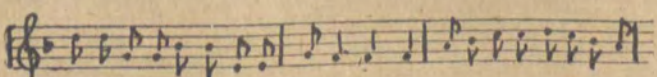
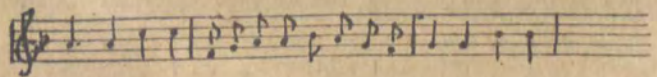
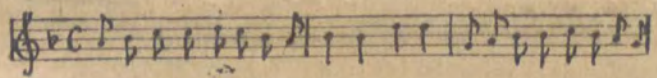
piosenkę

Janusz Słowikowski, jest w młodej poezji łódzkiej —
poezji, bo mamy niewątpliwie do czynienia z poetą —
zjawiskiem swoistym. Swoistym dlatego, że sfera jego
zainteresowań artystycznych obraca się wokół zaklętych
starych zegarów, kurantów, pajęczyn i kurzu na muzycz-
nych instrumentach, a jego poezja to poezja rzeczy u-
kształtowanych sentymentalnie, poezja małych przedmio-
tów, parasolek, bananów, kasztanów..

Obok tego jest Słowikowski z zamiłowań pirotechni-
kiem, ukończył szkołę na Sienkiewicza i oszalał na punk-
cie piosenki. Napisał już kilkadziesiąt ślicznych tekstów,
(przeważnie do muzyki Piotra Hertla) a piosenki te były
prezentowane wielokrotnie w „Pstrągu“ który jest matką
obojga autorów, na antenie radia i w telewizji.

Prezentujemy dziś teksty Janusza Słowikowskiego ze
zdjęciami wykonawców, sądząc że i w czytaniu mogą
one stać się źródłem miłych wzruszeń..

Parasolki



Zdjęcie ilustrujące piosenkę „Dziadzio i gdański zegar“

Foto: W. Machejko



Muzyka: Piotr Hertel

W pewnym mieście, w którym nigdy deszcz nie pada
I gdzie ratusz ulepiony jest z cynfolii
Co dzień rano kolorowy kram rozkłada
Potargany, stary handlarz parasoli
I zachęca małych ludzi wielkim krzykiem,
W rękach trzyma parasolki kolorowe,
Parasolki maciupęńkie jak guziki,
Czarne, żółte, fioletowe i różowe.

Parasolki, parasolki
Dla dorosłych i dla dzieci!
Parasolki, parasolki
Kropla przez nie nie przeleci!
Parasolki, parasolki
Parasolki bardzo tanie!
Parasolki, parasolki
Proszę brać — panowie, panie!

Mali ludzie mają małe domki z piasku
I małe samochody z plasteliny,
Mali ludzie mają bardzo mało czasu
Bo małe są zegary i godziny.
Muszą lepić złote kule, być w teatrze.
Potem jeszcze wpaść na chwilę do sąsiada —
Na sprzedawcę parasoli nikt nie patrzy
Zresztą u nich przecież nigdy deszcz nie pada.

Parasolki..

Odszedł z miasta, w którym kramik swój rozkładał
Potargany, stary handlarz parasoli,
I postrzegli mali ludzie z małych domów
Kiedy mieli mokre brody, mokre głowy
Że na rynku przy ratuszu nie ma kramu
I sprzedawcy parasoli kolorowych.
Parasolki..

Piosenki: „Dziadzio i gdański zegar“ i „Żołnierze w każdej potrzebie“ na str. 6



LISTY
z Warszawy
i ze
STRASBOURGA

13
żartów

gdy
mamusia
szuka, roko-
szy życia

OPWIADANIE
z dreszczem

WANDA FALKOWSKA
PROCEZY
POSZLAKOWE





JACEK LEBEN

BIALI I CZARNI

„Biały człowiek nie mógłby przetrwać, jeśli by czarnemu dano równe szanse”.

C. R. Swart. „Murzyn nie potrzebuje domu, może spać pod drzewem”.

dr Daniel F. Malan. „Nie może być równości między czarnymi i białymi ani w kościele ani też w państwie”.

z I Konstytucji Transwalu.

Wiesz już zapewne, Czytelniku, że rzecz dotyczy białej Unii Południowo-Afrykańskiej. Co parę miesięcy o smutnych sprawach tego kraju zaczyna pisać prasa światowa. Wielkość gazety jest proporcjonalna do ilości Murzynów zabitych przez południowo-afrykańską policję. Przed paroma tygodniami żniwo śmierci było szczególnie obfite. Ilość zabitych i rannych wciągnęła się na setki, a ilość wstrząsanych do więzień na tysiące. Tytuły w światowych gazetach były więc bardzo duże, a protesty napływające z całego świata szczególnie żarliwe.

Unia Południowo-Afrykańska jest na pewno jednym z najcięższych krajów świata. Jej sytuacja wewnętrzna obfituje w liczne curosa. Kraj ten liczy 13 milionów ludności, z czego niecałe 3 miliony pochodzenia europejskiego. Reszta to Murzyni, Mulaci, Hindusi, Malajowie. Choć w Afryce Południowej mieszka ponad połowa całej białej ludności Afryki, to stanowi ona zaledwie jedną czwartą ludności tego kraju. Jest to zresztą jedyny kraj brytyjski, w którym obywatele pochodzenia brytyjskiego są w mniejszości.

Większość białej ludności stanowią bowiem tak zwani Afrykanerzy. Są to potomkowie Burów, osadników holenderskiego i niemieckiego

pochodzenia, którzy począwszy od XVII wieku, zaczęli napływać z Niderlandów. Afrykanerzy zachowują odrębność języka i religii, obyczajów i tradycyjną niechęć do Anglików.

Afrykanerzy rządzą, ale 90 proc. kapitałów należy do Anglików. To w ich władaniu znajdują się potężne kopalnie złota (43 proc. wydobycia światowego) i przebogate pola diamentowe. To oni zawiadzają kopalniami uranu, niklu i szlachetnych metali.

Apartheid — separacja, to złowieszcze słowo czarnym kirem przygniata Unię Południowo-Afrykańską. Separacja białych od czarnych. Separacja panów od niewolników. Separacja tych, którzy są głównymi twórcami bogactw od tych, którzy są

ich głównymi konsumentami.

Cała polityka Unii Południowo-Afrykańskiej stanowi rozwinięty i przemysłowy system rasistowskiego apartheidu. Ludność murzyńska i kolorowa pozbawiona jest wszelkich praw. Niemal wszystkie osiągnięcia cywilizacyjne dostępne są tylko dla białych. Białym takśownikom wolno jest wozić tylko białych pasażerów. Jeżeli biały siedzi na ławce w parku, kolorowy nie ma prawa na niej spać. Biali mogą się schronić w poczekalni autobusowej przed deszczem, ale czarny musi moknąć. W 1950 roku Parlament Unii Południowo-Afrykańskiej uchwalił ustawę o grupowych przesiedleniach. Ustawa ta legalizuje przesiedlenia setek tysięcy Murzynów do rezerwatów. Ustawa o zwalczaniu komunizmu zezwala Ministrowi Sprawiedliwości bez sądu pozbawiać prawa działalności politycznej każdego obywatela Unii. Ustawa o niemoralności przewiduje wysokie kary nie tylko za próbę legalizacji małżeństwa między ludźmi o różnym kolorze skóry, ale nawet za jakiegokolwiek uczuciowe zbliżenie między nimi. Rasizm przejawia się w najbardziej zoologicznych formach. Jeżeli w kolorowej rodzinie rośnie potomek o absolutnie białej skórze, a zdarzają się takie dziwoki, to jest on traktowany na równi z białymi. Jeżeli zaś rodzina pochodzi z ciemniejszego odcienia skóry do większości współplemieńców to musi wegetować w dręczącej atmosferze powszechnej podejrzliwości.

Kościół kalwiński, którego wyznawcy stanowią zdecydowaną większość Afrykanerów maksymalnie podsyca nienawiść rasową. Ktoś się wyraził o tym kościele, że religią ich jest nienawiść.

Kościół ten głosi, że Murzyni są niższą rasą drwali i wozowców. Dla każdego normalnego człowieka tego rodzaju teza jest zaprzeczeniem religii chrześcijańskiej, ale od czego przemysłowa filozofia pęgażająca na umiejętności dostosowania się do potrzeb? Kościół kalwiński głosi więc za Pismem Świętym, że krajowcy pochodzą od Chama. Są więc wyklęci. I wyklęci muszą pozostać na zawsze.

W ostatnich tygodniach rząd Unii Południowo-Afrykańskiej zdecydował się na przeprowadzenie drastycznych akcji, których realizacja ma stanowić fundament utworzenia dwóch państw w jednym państwie: państwa białych obejmującego wszystkie miasta i 15 proc. ziemi ornej, i Bandustanu — pań-

stwa czarnych, które ma wegetować na pustynnym płaskowyżu, który nie jest w stanie wyżywić nawet 5 milionów mieszkańców. Kolorowym wydano kolorowe paszporty, które nie uprawniają do przebywania poza wyznaczonymi rejonami.

Kielich goryczy przepełnił się. Setki tysięcy Murzynów zaczęło palić kolorowe paszporty i w pokojowych milczących pochodach ruszyło ku centrum wielkich miast. Samochody pancerne policji powitały ich ogniem karabinów maszynowych.

Wydarzenia w Unii Południowo-Afrykańskiej wstrząsnęły opinią świata. Pod jej naciskiem zebrała się na wniosek 29 krajów Afryki i Azji Rada Bezpieczeństwa. Rada Bezpieczeństwa zdecydowała większością głosów uchwaliła rezolucję potępiającą rasistowską politykę wzywającą rząd Unii Południowo-Afrykańskiej do zaprzestania działań będących hańbą dla całego cywilizowanego świata.

Premier Unii Verwoerd oświadczył jednak, że rząd jego będzie realizował dotychczasową politykę. Biali nie mają innego wyjścia, jeżeli nie chcą się podporządkować władzy czarnych: „Wolimy 100 lat wojować i rozstrzelwać Murzynów — oświadczył jeden z polityków Unii — niż udzielić Murzynom prawa głosu”.

Kwestia nie jest jednak tak prosta, jak się wydaje owoemu wojownicemu politykowi. Problem polega również i na tym, czy Murzyni dadzą się przez sto lat rozstrzeliwać. Wydarzenia ostatnich tygodni świadczą o czymś przeciwnym. Niestety jednak, rasistowski obłęd i kolonialna wiara w potęgę i siłę białej rasy nie idą zazwyczaj w parze z rozumem i z umiejętnością przewidywania wypadków.

Nasza szkoła

Nie wiem kto i po co wymyślił to, że wiosna rozpoczyna się na naszej półkuli 21 marca. Nie daję głowy za całą półkulę, ale w Polsce to nieprawda. Możemy zgodnie wypiąć nasze półkule na kalendarzowe konwencje i praktycznie czynimy to. U nas wiosna zaczyna się w pierwszy dzień Wielkonoocy. Tak jest zawsze i niezależnie od tego, czy święta przypadają w danym roku wcześniej czy później.

Dopiero na Wielkanoc ulica nabiera bowiem wiosennego i barwnego charakteru. Choćby i wcześniej było ciepło — dopiero tego dnia wynosimy na siebie nowe ciuchy, pouszywane lub kupione na nowy sezon lub przynajmniej wyczyszczone zeszłoroczne wdzianka. Z okazji Wielkonoocy rozwołane też zostają na dobre szklane bariery między naszym mieszkaniem a światem świeżego powietrza. Ulicę zaczyna my traktować jako miejsce samo w sobie, przestrzeń służącą do wypoczynkowych spacerów, pogawędek itp., nie zaś jako teren, który najszybciej przebywa się.

Jeśli Wielkanoc jest pogodna nasze „merytoryczne wyjście na ulicę” i inauguracja lżejszego i barwniejszego odzienia — wydaje się naturalna i oczywista, jest prostym rezultatem ciepła i wolnych od pracy dni. Ale zauważmy, że wielkanocna inauguracja wiosny odbywa się również wtedy, kiedy leje. Nie pogoda nami rządzi, tylko nasz odruchowy obyczaj rządzi pogodą.

Od kilku lat wiosny są u nas coraz to ładniejsze. Znów nie mam na myśli pogody, tylko ludzi i miasta. Są one i oni za każdym razem ładniej, barwniej i modniej ubrane i ubrani. Nie wiem, czy Czytelnicy podziwiają moje obserwacje, ale uważam, że co roku na ulicach jest więcej niż przed dwunastu miesiącami ładnych dziewcząt i kobiet. Chodzi zaś nie tylko o strój i wyplegnowanie, ale i urodę samą w sobie. Pozorny ten absurd spróbuj nawet wylumaczyć.

Otóż wiosna, a ściślej Wielkanoc jest również tym momentem, kiedy na ulicę (w znaczeniu dosłownym, nie broń Boże, przenośnym!) wychodzi nowe pokolenie świeżutko urodzonych kobiet. Dzieci i wyrostki płci żeńskiej zawsze w tym właśnie czasie przemieniają się (strój, wygląd) w kobiety lub przynajmniej w ową miłą sercom starszków kategorię prawie-kobiet. I z każdym rokiem jest to ekipa ładniejsza, zmieniająca w sposób rewolucyjny statystykę ładnych twarzą (i resztą) na ulicach. Prawdziwość mego doniosłego spostrzeżenia zapewne potrafiłby dowiedzieć nawet naukowiec, akceptujący istnienie współzwiązków między zdobyczami material-

no-socjalnymi i medycznymi — a zewnętrzną ludzką urodą.

Piszę te słowa przed nastaniem rzeczywistej wiosny. Ale zdecydowanie przewiduję szczególną wiosenność wiosny tegorocznej. Mniemam, że podstawowe znaczenie dla barwności ulicy mają i będą miały — ukryte obniżki cen.

Sam termin brzmi absurdalnie i komicznie. A jednak istnieje u nas ukryta a systematyczny proces obniż-

Świeżo malowanych jaj!



ki cen obuwia, garderoby i innych przedmiotów służących upiększeniu człowieka i jego otoczenia. Ukryte obniżki są faktami zazwyczaj niedostrzegalnymi. Nastają bowiem stopniowo, nie są związane z żadną datą, nie pisze się o nich w gazetach, nie towarzyszą im remanenty, nowe cenniki i potem podwójne ceny na wystawach: te stare, przekreślone i te nowe.

Polegają one po prostu na tym, że za te same pieniądze otrzymujemy na ogół coraz to ładniejsze, lepsze gatunkowo, trwalsze i modniejsze rzeczy. Ale jest to prawdziwa obniżka, Placi się bowiem nie za nazwę „but”, ale za zespół cech i walorów, które w konkretnym wypadku nazwa ta ucieleśnia.

Przed dwoma, trzema laty za modne, kolorowe obuwie płacono się gdzieś tysiąc złotych. Przeciętny człowiek mógł więc kupować tylko standardowe i niemodne. Dziś za 200 do 500 zł otrzymujemy ładniejsze obuwie niż uprzednio za sumę trzykrotnie większą. To samo dotyczy odzienia, wzorów materiałów, gatunków tkanin. Jeszcze niedawno modną suknię miało się wówczas, kiedy fuksem lub w komisie zdobyło się ładny materiał, po czym droga krawcowa szła według zagranicznego żurnalu mody. Dziś to samo dostajemy kilkakrotnie taniej w sklepie z konfekcją.

Nie tak dawno temu wystawa komisji mieściła rzeczy ucieleśniające nasze wy-

obrażenia i marzenia o wysokiej jakości, modzie, szyku i elegancji. Dziś są te wystawy niekiedy zbiorowiskiem brzydoty i tandety. A przecież leżą na nich takie same, może nawet i modniejsze przedmioty. Po prostu w pobliskim MHD dostajemy ładniejsze rzeczy. Jeżeli ich tam zaś nie ma, chodzi się do Galluxu, Cepellii czy sklepu fabrycznego.

Ów proces tanienia nie ogranicza się do garderoby, mebli, ozdób. Dotyczy również usług. Jednym słowem ukryte obniżki cen dokonują się w dziedzinie barwy życia. Nasza stopa życiowa rośnie najszybciej w tych właśnie rejonach. Z innymi różnie bywa.

Towarzyszy temu zjawisku gwałtowna rewolucja gustów i życiowych wymagań. Ona to, sama w sobie, jest nie mniejszą niż ta pierwsza sprawa — zdobycza. Zanika jakaś oklapłość społeczna, jakieś zgadzanie na istniejący standard i szarość życia. Rodzi się i potęguje energia awansowa, która wywołuje przemiany i która sama z kolei wywołuje nowe przemiany. Ten obwód energetyczny szczególnie wyraźnie działa, jeśli chodzi o ludzi młodych.

Trwanie utajonej obniżki cen nie odbywa się, oczywiście, jak wszystko u nas — bezkonfliktowo. Jest np. fałszywa Poliszynela, że handel obuwem stosuje świadomą obstrukcję przy wypuszczaniu na rynek nowych, coraz modniejszych modeli. Stara się opóźnić nasywanie nimi sklepów po to, żeby ludzie nolens volens wpieryć kupili to, co jest na półkach — obuwie droższe i mniej modne. Kierownictwo tej branży handlu wychodzi ze skądinąd rozumnego założenia, że nikt nie kupi drożej brzydszego, skoro może taniej kupić ładniejsze. Niechaj więc nie może. Ale doprowadza to do nierozumnych konsekwencji. Nawet jeśli pominiemy sprawę dobra Klienta, a martwić się będziemy tylko o dobro handlu. Handel pozornie tylko chroń się w ten sposób od strat. Bowiernie modne a nie puszczone na rynek obuwie z czasem, kiedy już trafi do sklepów, znów przestanie być modne. Taka zabawa trwać może i tysiąc lat.

A przecież stare obuwie można oddać branży gastronomicznej, dla przerabiania go na befsztyki i przekąski. Konsument i tak nie odróżniłby schabowca z buta od schabowca z szynki. A przynajmniej pozytywna ewolucja dotycząca naszej powłóczki będzie konsekwentna, nawet jeśli dokona się kosztem naszego wnętrza.

Dojechaliśmy do kulinariów. Z okazji uroczystości rodzinnego konsumowania kurzych embriónów życzę wszystkim świeżego i nowocześnie malowanego jajka.

BELFER

PROCES. Przed sądem odpowiada człowiek oskarżony o morderstwo. Nie przynajmniej do niczego, przez cały czas składania wyjaśnień konsekwentnie utrzymuje, że nie zabił. — Ten człowiek jest mordercą — mówi prokurator. — Ja to udowodnię! — Oskarżony nie ma z tą zbrodnią nic wspólnego — oświadcza obrońca. — W tej sprawie zbyt wiele jest wątpliwości, luk i pytań bez odpowiedzi, aby mógł zapaść wyrok skazujący.

Tak mniej więcej kształtuje się sytuacja na każdym procesie poszlakowym, to znaczy wówczas, gdy wina oskarżonego nie jest dowiedziona przez prokuraturę w sposób nie budzący wątpliwości, on sam nie przynajmniej do niczego, a sąd musi

wyrokować na podstawie dowodów pośrednich, czyli poszlak.

Oczywiście, procesy poszlakowe toczą się nie tylko o morderstwo. Często się zdarza, iż oskarżony nie przynajmniej do innego znaczenie mniej groźnego czynu np. kradzieży, popełnienia morderstwa, czy oszustwa i również do wyroku skazującego dojdzie może tylko wtedy, jeśli prokurator czyn ten zdola mu udowodnić w sposób zupełnie oczywisty. Więcej. Każdy proces jest w pewnym sensie procesem poszlakowym. Nawet w wypadku bowiem jeśli oskarżony przynajmniej do popełnienia przestępstwa czy zbrodni, zwykle stara się przedstawić okoliczności swego czynu w sposób dla siebie jak najbardziej korzystny.

Przed dwoma laty toczył się w Warszawie głośny proces Feliksa Magdziarza, mordercy kierowcy taksówki. Otóż Magdziarz, który bezpośrednio po ujęciu przez władzę przyznał się do popełnienia zabójstwa, przed sądem oświadczył iż ofiarę swą

WANDA FALKOWSKA

Czas nie chce stanąć

zabił... nieumyślnie. Mianowicie w czasie samotania wypaliła broń, którą Magdziarz wyjął z kieszeni jedynie w celu przestraszenia swej ofiary. Sąd nie dał wiary takim wyjaśnieniom oskarżonego wychodząc z założenia, iż nie zabija przypadkowo ten, kto kradnie broń w celu dokonania napadu, następnie jedzie do Warszawy, wyciąga swą ofiarę na odludną szosę w późnych godzinach wieczornych i tam przystępuje do akcji wyciągającej nabitą i niezabezpieczoną broń. Podobne przykłady można by mnożyć w nieskończoność. Niemal w każdym procesie pewne okoliczności sprawy, ustala się

na podstawie poszlak uzupełniających ogniwa dowodowe.

Największe zainteresowanie społeczeństwa, największe dyskusje i polemiki wywołują jednak procesy poszlakowe o zabójstwo. Ostatnie lata nie poskąpiły nam tego rodzaju procesów. Pomijając już sprawę prof. Tarwida, która na długo podzieliła społeczeństwo na dwa obozy, mieliśmy w ciągu ostatniego roku dwa niezmiernie ciekawe procesy poszlakowe w Krakowie: proces Stanisława Wójcika, oskarżonego o zabójstwo krakowskiej przekupki Marianny Gałuszkowej, oraz proces Teofilii Marii Marzyskiej, oskarżonej o zabójstwo Zenaidy Borej-

ko-Chodkiewiczowej, starszej kobiety utrzymującej się z szycia bluzek.

Oba te procesy w pierwszej instancji zakończyły się wyrokami skazującymi. Stanisław Wójcik skazany został na dożywotnie więzienie zaś Marzyska na 6 lat więzienia (biegli stwierdzili u niej częściowe ograniczenie poczytalności, skłonność do furii, szatu itp.) Wyroki te nie utrzymały się w drugiej instancji. Sąd Najwyższy uznał, iż za dużo jest w obydwu sprawach wątpliwości i pytań, na które przewodzący nie dostarczył odpowiedzi. Sprawa Wójcika wróciła ponownie do śledztwa i prokuratura raz jeszcze sporządziła będzie musiła przeciwko niemu akt oskarżenia. W sprawie Teofilii Marii Marzyskiej natomiast Sąd Najwyższy uchylił wyrok i rozkazał ją do ponownego rozpatrzenia Sądowi Wojewódzkiemu w Krakowie. W ten sposób obie wspomniane sprawy znajdują się znów przed sądem pierwszej in-

stancji i niewątpliwie fascynować będą raz jeszcze opinię publiczną. Zarówno Wójcik, jak i Marzyska nadal nie przynajmniej do wina. Sąd Najwyższy uchylając oba wyroki nie ustosunkował się do kwestii wina czy niewinności oskarżonych a jedynie wytknął pewne braki w materiale dowodowym, braki, które należy uzupełnić przed wydanem prawomocnego wyroku.

Jak to się dzieje, iż procesy poszlakowe są tak skomplikowane i trudne dla sądu? Dlaczego w tych sprawach właśnie wyroki najczęściej są uchylane, a sprawa bywa rozpatrywana kilkakrotnie i często kończy się uniewinnieniem. (Słusznie zresztą. W prawie naszym istnieje zasada domniemania niewinności oskarżonego i zasada ta zwycięża zawsze wówczas, gdy w sprawie pozostają jakieś nierozstrzeżone wątpliwości.)

Zasadnicze znaczenie dla (Dalszy ciąg na str. 4)

13
żartów

**ŚWIĄTECZNY
KONKURS**
DLA DOWCIPNYCH
CZYTELNIKÓW

13
żartów

Na pierwszy rzut oka widać, że w zamieszczonych poniżej — 13 żartach rysunkowych — nie wszystko jest w porządku. Upstrzone są jakimiś czarnymi prostokątami, nie bardzo też wiadomo — z czego się śmiać...

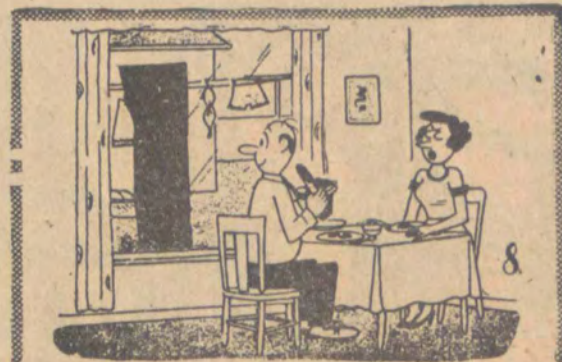
Po prostu — z każdego żartu usunęliśmy jego najważniejszą część, jakiś szczegół, przedmiot, rekwizyt — który określa pointę dowcipu. Te właśnie usunięte „rekwizyty”, wydrukowane są osobno i zaopatrzone literkami.

WASZE ZADANIE, Drodzy Czytelnicy, polega właśnie na dopasowaniu „rekwizytów” do poszczególnych żartów. A więc — na kuponie konkursowym pod kolejnym numerem żartu — wpisujemy odpowiednią literkę.

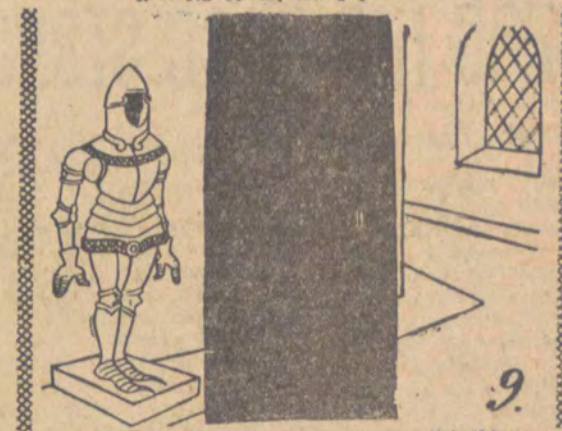
NIE RADZIMY „przymierzać” przedmiotu do sytuacji w sposób mechaniczny (przy pomocy nożyczek, lub linijki); żarty i „rekwizyty” są wydrukowane w różnych proporcjach! **NALEŻY NATOMIASZ** znaleźć logiczny i dowcipny związek między szczegółem a całą sytuacją lub tekstem podpisu.

JESZCZE JEDNO: żartów jest trzynaście, a „przedmiotów” tylko jedenaście. Rzecz w tym, że jeden ze „szczegółów” pasuje do trzech sytuacji! Zgadnijcie który?

Wśród Czytelników, którzy przyślą do redakcji prawidłową odpowiedź na kuponie, w terminie do 30 kwietnia — rozlosujemy cenne nagrody książkowe.



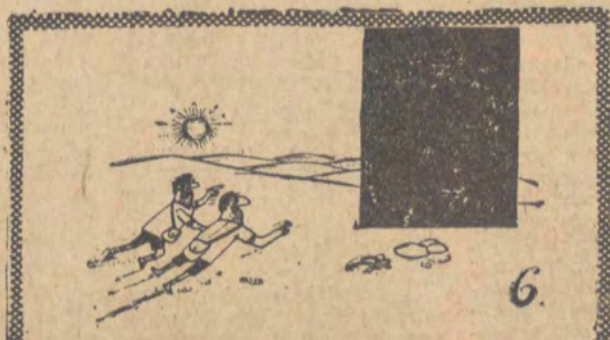
8. — Na co się tak gapisz?



9. — Pan jest zdaje się — moim pradiadkiem...



1. Ach — więc to się nazywa u pana łodzią ratunkową?



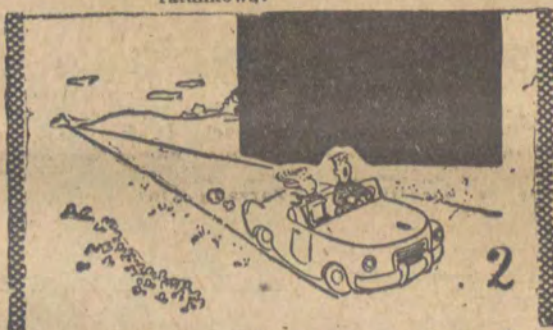
6. — Jesteśmy uratowani — nareszcie ślad cywilizacji!



10. Bez podpisu



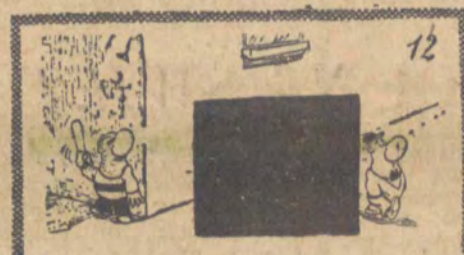
11. Bez podpisu



2. — Czy twój tatuś nigdy się od nas nie odcepił?



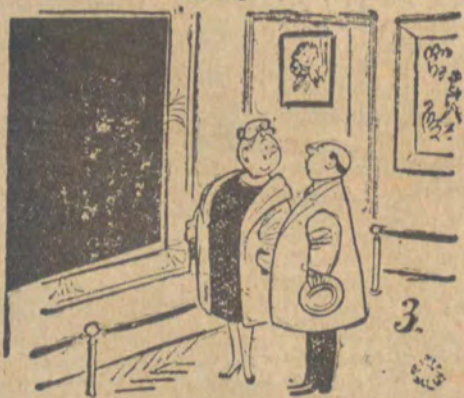
7. — Zostu! Przyszedł monter — założyć antenę telewizyjną.



12. Bez podpisu



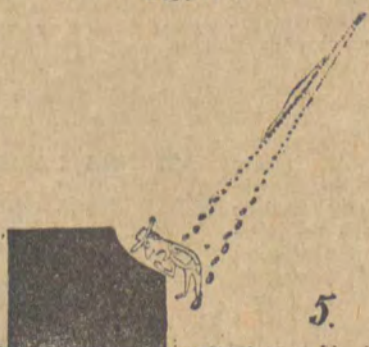
13. Bez podpisu



3. — To wzruszające pomyśleć, że mogłabym służyć Rubensowi jako model...



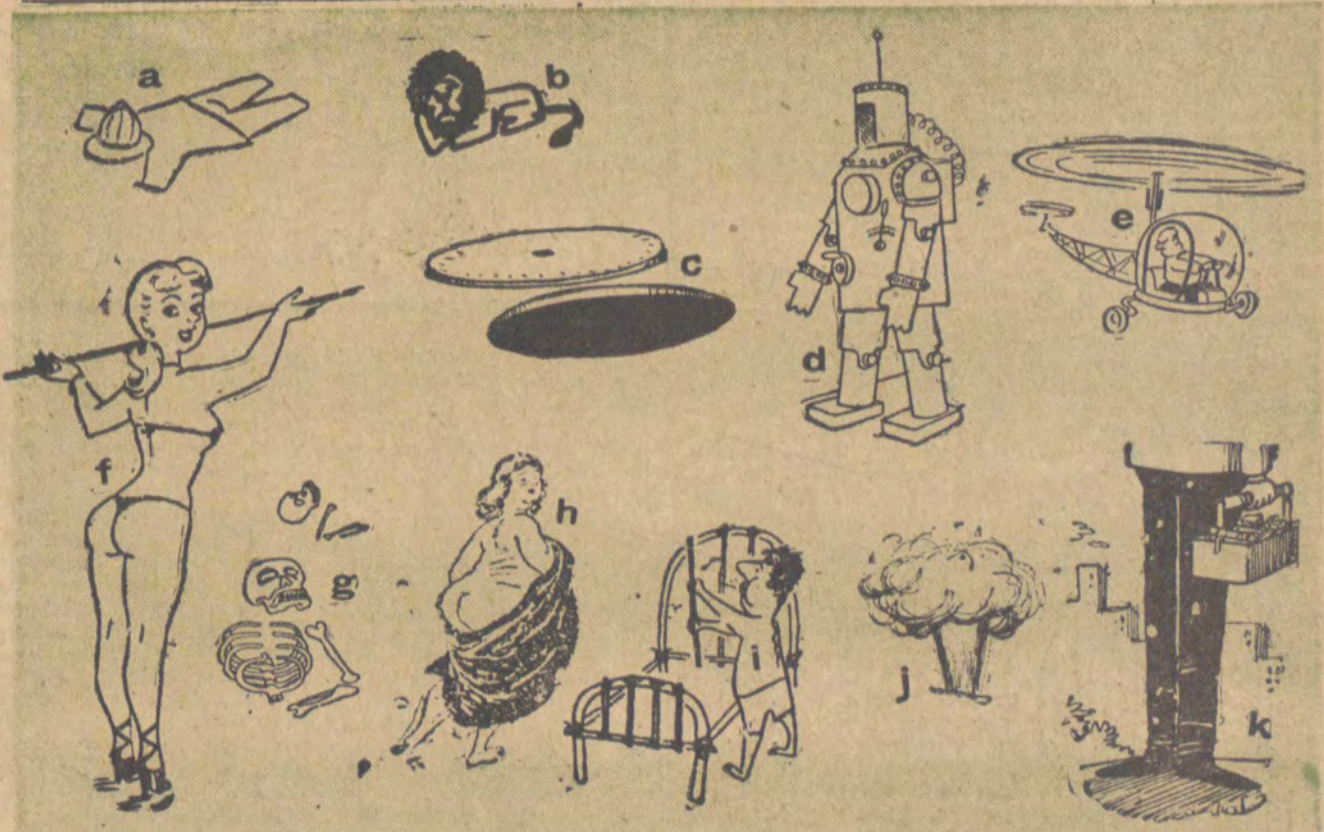
4. — Czy jesteś pewien, że te grzyby nie są trujące?



5. — Czy ty się nigdy nie nauczyłeś ostrożnie chodzić?

KUPON KONKURSOWY

13 żartów	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13
Imię i nazwisko													
Adres													





Czas nie chce stańc

(Dalszy ciąg ze str. 2)

spraw poszlakowych ma szybkie ujawnianie i zabezpieczenie wszelkich śladów czy dowodów mogących wskazać władzom śledczym osobę przestępcy. Pomiedzy zabójcą a organami śledczymi istnieje tu swoista rywalizacja. Przesłupca planując zbrodnię stara się tak wszystko obmyślić, by nie pozostawić po sobie żadnych śladów, aby była ona zbrodnią doskonałą. Prowadzący śledztwo ze swej strony starają się tak nim pokierować, aby jak najszybciej odnaleźć i zabezpieczyć wszelkie ślady pozostawione przez przestępcę.

Morderca Gałuszkowej chcąc zabezpieczyć się przed odpowiedzialnością karną odciął swojej ofierze głowę. Głowy tej dotychczas nie znaleziono i dlatego niepodobna z całą pewnością stwierdzić, jaką śmierć poniosła Gałuszkowa. (Czy została otruta? Czy uderzona? Jeśli tak to czym?) Morderca niszczył głowę miał na celu uniemożliwienie identyfikacji zabitej, co mu się zresztą częściowo udało, ponieważ wskutek kłopotów z ustaleniem tożsamości ofiary śledztwo początkowo umorzono, a Wójcik znalazł się na ławie oskarżonych dopiero w trzy lata po zabójstwie. Gdyby zniszczono również kadłub zamordowanej, krakowska zbrodnia pozostałaby zapewne właśnie zbrodnią doskonałą. Zabójca poprzestął na wysłaniu ciała w wiklinowym koszu do Wrocławia, gdzie w dziesięć dni potem odkryto ponurą zbrodnię. Nie rozpoznano ofiary, wzięto jednak odcisk palca. Gdy po przeszło roku sąsiadki Gałuszkowej zameldowały władzom o jej tajemniczym zaginięciu, przypomniano sobie o bestialskim zabójstwie kobiety. Przez porównanie odcisków palców stwierdzono w sposób nie budzący wątpliwości, iż ofiarą jest właśnie znana krakowska przekupka Marianna Gałuszkowa. A kto jest mordercą? Do dziś nie można udzielić pewnej odpowiedzi na to pytanie. Prokuratora krakowska prowadziła po raz drugi śledztwo przeciwko Wójcikowi. Przeciwno niemu przemawia szereg poszlaków. On, podając się za lekarza (którym nigdy nie był), wkradł się w łaski starej kobiety. On załatwiał jej różne sprawy handlowe i pożyczal od niej pieniądze. On wreszcie mógł się jej bać, gdyż zglebiał jego sekret, że z medycyną nie ma nic wspólnego. On wreszcie nie chciał oddać jej pieniędzy, o które się upominała. Czy to jednak były dostateczne powody, aby dopuścić się zbrodni? Wójcik, — jak dowodziła obrona — nigdy nie bał się Gałuszkowej. A poza tym, jak mało wiadano o innych ludziach kręcących się wokół niej, zwłaszcza o tych, z którymi robiła nielegalne interesy. Czy żaden z nich nie był

bardziej od Wójcika zainteresowany w usunięciu jej spośród żywych?

Zabójca stara się więc zwykle o usunięcie wszelkich śladów i zwykle popełnia jakiś błąd, bądź nie przewiduje pewnych okoliczności. Przesłupcy często też nie zdają sobie sprawy z osiągnięć medycyny sądowej, toksykologii, kryminalistyki. Nie rozumieją, iż ślad niewidoczny dla gołego oka poddany odpowiednim badaniom i analizie mówi wiele o przestępstwie. W każdym razie jedno jest pewne. Czas jest sprzymierzeńcem przestępcy. Po upływie czasu zacierają się ślady, niepodobna uzupełnić brakujących dowodów, świadkowie również zapominają szczegóły niekiedy bardzo istotne dla sprawy.

Dowody od razu nie utrwalone tracą swoją wartość. Przesłupcy niewątpliwie na tym wygrywają. Ponadto tak się niestety często dzieje że i władze śledcze popełniają pewne błędy, nie do naprawienia po upływie czasu. Nie przeprowadzają koniecznych analiz czy oględzin, nie dość starannie gromadzą dokumenty itp. Niezbadanie treści żołądka Teresy Tarwidowej zaciążyło jak wiemy na całym procesie prof. Tarwida. Również w wypadku zbrodni krakowskiej nie przeprowadzono badań toksykologicznych wnętrza Marianny Gałuszkowej, co uniemożliwia raz na zawsze odpowiedź na pytanie, czy została ona otruta. Gdyby Gałuszkowa uległa się od razu zidentyfikować, gdyby szukano jej zabójcę natychmiast po zbrodni zapewne



proces Wójcika wyglądałby zupełnie inaczej i kto wie zresztą, czy nie szczęśliwiej dla niego, jeśli jest niewinny. Na rozprawie, która toczyła się, jak już wspominałam, trzy lata po zabójstwie, świadkowie nie pamiętali wielu szczegółów i przedstawiali całkowicie sprzeczne szereg istotnych okoliczności. A co będzie gdy sprawa Wójcika znajdzie się ponownie na wokandy sądowej pięć lat po zabójstwie?

Niewątpliwie również zupełnie inaczej przebiegałaby sprawa Teofilii Marii Marzyskiej, gdyby od chwili zabójstwa do procesu nie upłynęły przeszło 2 lata. Łatwiej byłoby wtedy ustalić z kim zmarła kontaktowała się w ostatnim okresie przed śmiercią i kto ją odwiedzał poza Marzyską (również pseudolekarką). I w tej sprawie jedynym śladem jaki znaleziono był odcisk palca na filiżance od kawy. Zanim jednak ustalono, iż był to odcisk palca Marzyskiej upłynął przeszło rok. Z biegiem czasu coraz trudniej było też ustalić, czy Marzyska ma czy nie ma wiarogodnego alibi. Świadkowie zmieniali zeznania, zasłaniał się brakiem pamięci. Czas, jak już była tu mowa, jest sprzymierzeńcem przestępcy. Jeśli Ma-

TADEUSZ PAPIER

DOM POD WIERZBAMI

To jest książka niewątpliwie ciekawa. I zarazem dyskusyjna. Ciekawa, ponieważ opowiada o życiu poety, jest napisana interesująco i żywo. A dyskusyjna nie w związku z jej walorami literackimi.

„Dom pod wierzbami” jest napisany piękną, klarowną polszczyzną i fabularnie interesująco. Książka prowokuje do wymianian z innego powodu.

Autor dał jej podtytuł: opowieść autobiograficzna. Wydawnictwo opatrzyło wstępem, zamieszczonym na obwolucie, z którego wynika, że autor „przedstawia „w poetyckich obrazach” środowisko, w którym się wychował, okolice, warunki życia... że „Dom pod wierzbami” jest zarazem biografią twórczości pisarza, „poeta analizuje przemiany swojej postawy twórczej, pokazuje dochodzenie do autentyzmu...” A więc książka, która jest czy też ma być kluczem do twórczości poety.

Pozwólmy sobie zatem na parę uwag w związku z wypowiedzią S. Czernika — nie poety — lecz krytyka, który usiłuje ujawnić związki między własną twórczością, a z swoim życiem, pokazać ukryte sprężyny, decydujące o kształcie artystycznym jego poezji.

Krytykę Czernika można by nazwać estetyzującą: Czernik nie tylko odpowiada na pytanie, co z wydarzeń jego życia zostało w pamięci, „co podległo uświadomieniu, co się stało podglebiem wyobraźni, co najsilniej ugrzęzło w psychice i zostało w niej jak wieczne iskry”. Odpowiadając w sposób pośredni, może nawet nie zamierzony, potęguje wrażenie, które budzi jego poezja. Czytelnik „Domu pod wierzbami” ulega atmosferze, w którą wprowadza go autor. W tym klimacie wiersze istotnie nabierają osobliwego kolorytu.

Oczywiście, to nie zarzut. Ale czy związki, jakie istnieją między autorem a dziełem, są możliwe do ustalenia? Manfred Kridl przed wojną pisał, że „zajmując się taką genezą opuszczamy nasz trwały grunt, dzieło i wkraczamy na teren faktów, dokumentów i rozważań odrębnych, psychologicznych”. Korbut zaś uważał, że osoba autora, jego życie i psychika o tyle tylko powinna obchodzić badacza, o ile ona mo-

rzymska zabiła, coraz trudniej będzie udowodnić jej zbrodnię. Jeśli nie zabiła, jeszcze bardziej skomplikowane, jeżeli nie wręcz niemożliwe stanie się ujęcie mordercy.

Stąd też jest rzeczą zupełnie oczywistą, iż organa śledcze dążą do szybkiego prowadzenia śledztwa, szybkiego zabezpieczenia i zebrania dowodów. Przesłupca natomiast tak obmyśla swój czyn, aby do chwili wykrycia zbrodni upłynęło jak najwięcej czasu, a także i później, gdy mimo wszystko wpada w ręce sprawiedliwości stara się postępowanie sądowe jak najbardziej przedłużyć i przeciągnąć. Znana wśród przestępców mania polykalia



Stanisław Czernik

że rzucić światło na samo dzieło, na jego powstanie i treść. „Badanie zatem dziejów życia i dziejów ducha autora ma dla niego pomocnicze tylko znaczenie”. Pod tym, powiedziałbym, wdziczym kątem i my spoglądamy na „Dom pod wierzbami”.

Tym razem poeta mówi „de se ipso”. Powiada: „Ciągle szukanie i odkrywanie siebie w dziejach, w teraźniejszości i przeszłości — to dla mnie głównie źródło poezji”. „Na dobrą sprawę cała moja poezja, może nawet i całe moje pisarstwo, pozostaje pod znakiem, pod symbolem chaty. Leitmotyw powtarzający się, wiążący poszczególne części w zorganizowaną całość. Wielokrotny punkt wyjścia poszczególnych wierszy, bodziec, inspirator...”

Podkreślić jednak w tym miejscu trzeba, że „Dom pod wierzbami” nie jest pamiętnikiem. Bo chociaż w książce tej dużo jest mowy o sprawach najbardziej osobistych,

to na plan pierwszy wysuwa się nie protokół wypadków, nie zbiór nagromadzonych drobiazgów, które tkają życiorys, układają się w tok narracji epicznej, ale raczej komentarz. „Spotrzeżenia i uwagi, próby analiz i próby uogólnień z dziedziny doznań, przeżyć, uczuć i myśli łączących biografię ogólną autora z jego biografią poetycką”.

W tym kontekście ważną wydaje mi się wypowiedź Stanisława Czernika zamieszczona w „Tworzywie” („W poszukiwaniu rodowodu”). Zwraca tam poeta uwagę na sąd Hieronima Michalskiego, który analizując wiersz „Antenaci” pokazuje, „jak i w czym więz pochodzenia przestacza się w świadomość klasową, która przekształca, a właściwie nadaje życie pamięci o historycznym doświadczeniu chłopskim, odnajdywanym w doli przodków”. S. Czernik polemizuje z Michalskim. Stwierdza, że „stawiając sobie pytanie genealogiczne — kim jestem i kim byłem w protoplastach, odnajdując siebie wreszcie w jakimś układzie rodowodowym, nie szukam, tzw. przynależności klasowej lub związków krwi, lecz powinowactwa psychicznego, ukształtowanego przez podobieństwo losów, podobieństwo wynikające z określonych postaw psychicznych”. Świadomość klasowa — mówi poeta — była zawsze sprawą uboczną w życiu i poezji, choćby z powodu trudności określenia, czy i jaka jest moja klasa.

To jest bardzo interesujące wyznaczenie, lecz wydaje mi się,

że nie znajdzie ono pełnego pokrycia w „Domu pod wierzbami”. W tej wymianie zdań przyznałbym rację H. Michalskiemu. Chociażby z tego względu, że istnieje rozbieżność między życiorysem Czernika-poety-powieściopisarza, tak ciekawie potraktowanym w omawianej opowieści, a tym co Czernik o tym sądzi. Dość łatwo jest na podstawie „Domu pod wierzbami” określić historycznie i aktualnie przynależność klasową autora i jego antenatów. Jeśli nieco dalej S. Czernik mówi, że wśród chłopów jest także wielu krzywdzicieli i tych usuwa ze swojego rodowodu — to mimo woli przeczy poprzedniej wypowiedzi. Wierzę w tę drugą i bynajmniej nie obawiam się, że jest to „pośredni zarzut schematyzmu”.

„Dom pod wierzbami” jest opowieścią. Ale jest także komentarzem do autobiografii i do twórczości poety. Nadto komentarzem bardzo ciekawym.

Jest to także książka dobra w znaczeniu moralnym. Ta ciekawa opowieść nie jest „wykoncypowana”, „wyspekulowana” dla zewnętrznego „blichtru”. Poeta opowiada o tym tylko, co do głębi przeżył. I to może będzie wytłumaczeniem zjawiska dzisiaj rzadko spotykanego, że książka Czernika, choć nie ma na sobie stempla sensacyjnej powieści, tak niesłychanie wciąga i wzrusza.

*) Stanisław Czernik, „Dom pod wierzbami”. Opowieść autobiograficzna. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1960.

Nieciekawy strumień życia

Ulećroć zastanawiałem się nad tym, jakie było moje życie, dochodzę do wniosku, że miało ono przebieg barwny i ciekawy — tak sądził Jan Koprowski w swojej książce „Strumień życia”. Niestety, treść tej książki zdaje się zaprzeczać wyrażonemu na wstępie przekonaniu. Życie Jana Makolągwy — bohater książki Koprowskiego nie było chyba ani barwnie ani też ciekawe. Historia farnalskiego chłopca, jego świat dziecięcy, pierwsze spotkania ze szkołą, z przeciwnościami życia, z „książką, z pracą w fabryce wszystko to nie wyszło poza ramy ilustracji do ogólnie znanych dziś tez socjologicznych i politycznych. Autor nie postarzał się wnieść nowych momentów do naszej wiedzy o trudnym a-wansie życiowym młodego wrocławskiego chłopca w Polsce Przedwzrzesniowej.

Jak Makolągwa jest bohaterem o bardzo skąpej wyobraźni. Jego świat dziecięcy okazał się pozbawiony owych wspaniałych wzruszeń, które przeżywa dziecko. Jego pierwsza miłość, pierwsze zetknięcie się z dziewczyną, nawet te piękne i niepowtarzalne chwile w życiu każdego człowieka, niezależ-

nie od jego pochodzenia społecznego czy sytuacji życiowej — nie podniosły temperatury uczuć młodego chłopca. Pozostał szarym i nieciekawym. Gdy czyta się „Pamiętniki chłopów” — (a porównanie z nim nieustannie towarzyszyło mi podczas lektury „Strumienia życia”) uderza nas barwność opisu, jedność języka i arcycekkawe, zaskakujące zdaznienia, jakie dostarcza prawdziwe życie. U Koprowskiego nie ma tych zaskakujących zdarzeń, brakuje życia.

Na bezbarwnej tonacji całej książki zaważył chyba ubogi język, jakim autor przedstawia nam losy bohatera i stany jego uczuć: (str. 16 „serce zamierzało mi w pierś”; str. 65 „moje serce topniało z żalu”; str. 87 „czułem, że coś ścisła mnie za gardło”; str. 103 „wzruszenie dławilo mi gardło”; str. 126 „serce ścisnęło mi się boleśnie”; str. 148 — „serce mi się krajało”; str. 130 „serce podchodziło mi do gardła”).

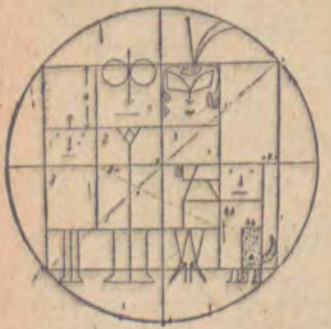
Wydać mi się, że wiele wad książki wynika z pomieszania dwóch różnych konwencji literackich: raz mamy u Koprowskiego „świat dorosłych widziany



Jan Koprowski

oczami dziecka”, innym razem, o stronę dalej — wspomnienia dojrzałego człowieka o swojej młodości i dzieciństwie. Można sądzić, że Jan Koprowski spróbował w swej nowej książce powrócić do krainy opisanej we „Wspomnieniu o moim ojcu”. Powrócił, spróbował podjąć ten sam refren. Ale tym razem zabrzmiął on fałszywie.

Z. N.
*) Jan Koprowski, „Strumień życia”. Opowiadania. Wydawnictwo Łódzkie 1960



WANDA FAJKOWSKA



Gdy mamusia szuka „rozkoszy życia“



Przynam się szczerze, że denerwują mnie niektóre głosy w dyskusji o młodzieży opublikowane przez „Odgłosy”. Wsadza się młodzież na wyspę i ogląda. Mam na myśli wyspę w sensie społecznego otoczenia. Cóż za bzdura! Zachowanie młodzieży nie jest samo w sobie przyczyną, lecz tylko skutkiem ogólnego stanu moralno-obyczajowego społeczeństwa. Być może — skutkiem nieco jaskrawszym, bardziej drastycznym. Jeżeli młody człowiek pije — pytajmy: a starsi? Owi dorośli, których trzeba słuchać? Jeżeli młody człowiek prowadzi bogate życie seksualne — pytamy: a starsi, a szanowani niekiedy ojcowie rodzin, ci niepągani rzekomo żonaci i dzieciaci? Jeżeli młody człowiek kradnie, to już i pytać nie trzeba, wystarczy czytać gazety.

Nie istnieje więc odrębny problem młodzieży i nie ona w pierwszym rzędzie powinna zasiadać na ławie oskarżonych. Sąd nad młodymi jest w pierwszym rzędzie sądem nad pokoleniem dorosłych. Chciałbym przedstawić na dowód galerię prawdziwych winowajców, którzy być może też czytają „Odgłosy” i załamują ręce nad demoralizacją, rozpustą i nihilizmem, moralnym naszej młodzieży.

Od jak dawna narastał konflikt w tym małżeństwie, nie ma to już w tej chwili znaczenia. Musiał jednak kłócić od wielu lat, skoro obie strony — kobieta i mężczyzna — reprezentowali i odmienne charaktery i odmienne upodobania. Żona, kobieta młoda, lubiąca towarzystwo, ale jednocześnie wyjątkowo niewybredna. Mąż ceniony fachowiec, zapracowany i podejmujący każdą pracę, byle zarobić dużo pieniędzy. Jednocześnie jest domatorem, kocha dzieci, żona natomiast domem i dziećmi zajmuje się mało szuka „radości życia” w towarzystwie. Na tym tle dochodzi między małżonkami do awantur, sceny zazdrości

przeradzają się u męża w stan chorobliwy, maniackalny. Dorastające dzieci są świadkami rozdziewki między rodzicami. Nie lubią teraz matki, coraz bardziej odczuwają jej obojętność i obojętność. Lgną do ojca, są przekonane, że wszystko to co on robi jest dobre, a co matka — złe.

Scen zazdrości jest coraz więcej i jedna z nich omal nie kończy się morderstwem. Na ratunek bitej żonie (a dzieci są tego świadkami) spieszą sąsiedzi, jest i milicja. Ogarniętego furją męża odwożą do szpitala dla psychicznie chorych. Lekarze stawiają diagnozę: stan chorego poważny i groźny dla otoczenia — urojenia na tle zdrady małżeńskiej. Mijają teraz miesiące. I oto po pewnym czasie żona podpisuje w szpitalu dokument, że na własną odpowiedzialność, ponosząc wszelkie konsekwencje tego kroku, zabiera męża do domu. Czynnikiem skłaniającym ją do takiej decyzji był niestety, nie względnie na dobro dzieci i tęsknota za mężem, lecz osobiste potrzeby finansowe. Sama nie ma ochoty pracować, a mąż potrafił dobrze zarobić.

Początkowo życie toczy się na pozór spokojnie. Ale to tylko pozory. Zazdrość mężka objawia się teraz u męża w sposób spotęgowany. Sledzi każdy krok żony, sceny zazdrości powtarzają się prawie codziennie. Sąsiedzi słyszą krzyki, słyszą płacz dzieci i wietrzają sensację. Ale nie chcą się wtrącać w życie rodzinne. Mało to mają swoich kłopotów? O tym, żeby zaoszczędzić dzieciom obserwować rozkładu pożycia ich rodziców, nikt, niestety, nie pomyślał.

I oto zbliżamy się do finału tej całej historii. Jedną z awantur kończy się ponura zbrodnia. Chory psychicznie mąż zabija swą żonę. Świadcami tej zbrodni są ich dzieci. Nie stała jednak po stronie matki, przyjmują jej śmierć obojętnie, nie wzywają pomo-

cy. Po tym fakcie za obłąkany ojcem zamykają się na zawsze drzwi zakładu dla nieuleczalnie chorych psychicznie. Sieroty, decyzją sądu, oddane zostają do Państwowego Domu przeznaczony dla dzieci pozostawionych opieki rodzicielskiej. Opuszczają peryferyjna dzielnicę Łodzi z ogromnym urazem, którego ślad może pozostać w ich sercach na całe życie. Mieszkanie przy bocznej ulicy zajęli nowi lokatorzy.

NIERZADNICA I ALKOHOLIK

Kilkanaście dni temu przed sądem toczył się dramatyczny proces. Na ławie oskarżonych zasiadli rodzice dwunastoletniego chłopca. Matka uprawiająca nierząd, ojciec — staczający się na dno alkoholik. Przewód sądowy miał udowodnić im moralną „zbrodnię” popełnioną na własnym dziecku: deprawację.

Sądze, że każdy mieszkaniec Łodzi byłby wstrząśnięty do głębi, gdyby był świadkiem tego przewodu sądowego, lub gdyby o tym przewodzie przeczytał w gazecie. Niestety, nie takiego nie napisano. W redakcjach nie czekano na powrót dziennikarzy mających zamieścić obszerny sprawozdanie z tego wstrząsającego procesu, ponieważ nikt takich dziennikarzy na tę rozprawę nie wysłał. Bo przecież to taka pospolita i mało sensacyjna rozprawa — odbieranie rodzicom władzy rodzicielskiej nad ich dziećmi. Więc mieszkańcy Łodzi nie dowiedzieli się, że znów wyrokiem sądu pozbawiono matkę i ojca władzy rodzicielskiej nad ich nieletnim synem, próbując w ten sposób ratować jeszcze jedno nieszczęśliwe dziecko. Dwunastoletni chłopiec opuścił dom rodzinny, by od tej pory w Państwowym Domu Dziecka, w obcym środowisku, z dala od matki i ojca odzyskać równowagę psychiczną, odrabiać zaległości w nauce, pozbywać się szkodliwych cech charakteru nabytych w domu.

NIE MA POWROTU

Czy pedagogom i wychowawcom uda się przywrócić dziecku to, co zagubione zostało w jego rodzinnym domu? Z tym dręczącym mnie pytaniem przekraczałem, pełen sprzecznych uczuć, bramę jednego z takich właśnie państwowych ośrodków, w których przebywają dziewczynki i chłopcy — dzieci rodziców pozbawionych wyrokiem sądu władzy rodzicielskiej lub w tej władzy ograniczonych.

Różne są tu dzieci, z różnych środowisk i różne były powody, dla których odesparowano je od rodziców. Oto dziewczynka, a raczej dorastająca panienka, od siedmiu lat przebywająca poza domem rodzicielskim. Jest półsierotą. Ma tylko matkę, lecz mimo to skierowano ją tutaj. Skierowano na czas pobytu matki w więzieniu za dokonanie jakiejś kradzieży. Ten okresowy pobyt przedłużył się do lat siedmiu. Przez siedem lat kontaktowała się z matką jedynie za pomocą korespondencji. Często listy pozostawały bez odpowiedzi. Dziewczynka nie rozumiała — dlaczego? — a pedagogowie nie chcieli jej powiedzieć, że matka znowu odsiadywa kare w więzieniu. Przez siedem lat pisała listy i uczyła się w szkole podstawowej a potem już w zawodowej, córka zateskniła do matki i marzyła o dniu, w którym obie spotka-

ją się i już nigdy nie rozłączą. Po siedmiu latach taki dzień nastąpił. Matka przyjechała po córkę. Ale radość u dziewczynki zgasła natychmiast, gdy zobaczyła matkę w towarzystwie jakiegoś obcego młodego człowieka. Oboje byli bardzo pijani. Doszło do awantury. Dziewczynka pozostała nadal w państwowym domu.

W jakiś czas potem matka wystąpiła do sądu z prośbą o przywrócenie jej władzy rodzicielskiej. Na rozprawie odczytano akta wielu spraw świadczących o tym, że matka była w ciągu siedmiu lat wielokrotnie karana sądowo, jako recydywistka za kradzieże i niemoralne prowadzenie się. Czy takiej matce można było przywrócić dziecko? Wstrząs u córki, dowiadującej się o „czynach” matki był wielki. I zanim sąd odrzucił prośbę matki, córka już wcześniej odmówiła do niej powrotu.

ALKOHOL ZWYCIĘŻYŁ MIŁOŚĆ

Oto inne dziecko wychowywane na koszt państwa. Trzynastoletni chłopiec, syn alkoholików. Odebrano im władzę rodzicielską aż do dnia pełnoletności chłopca. Na rozprawie sądowej rozpaczliwie błagali oboje: matka i ojciec, by nie zabierano im ich szczęścia. Rozpaczają podobno do dzisiaj. Ale jednocześnie, gdy zażądano od nich, w zamian za powrót syna do domu, by zerwali z nalogiem i poddali się leczeniu, odmówili. Nalóg okazał się silniejszy od miłości do własnego dziecka. Chłopiec zdaje sobie z tego sprawę. Jego spotkania z rodzicami — nawet najbardziej obojętnemu obserwatorowi ranilby serce. Tak się spotykać mogą tylko bardzo obcy i dalecy sobie ludzie.

PODCHMIELONA CIOTKA

Albo jeszcze inny chłopiec. Nie ma ani matki, ani ojca. Bracia siedzą w więzieniu, rodzina — lepiej o niej nie wspominać. Jest zaniedbany umysłowo a nadmiernie rozwinięty fizycznie jak na swoje czternaście lat. Doświadczeniem seksualnym przerasta niejednego dorosłego mężczyznę. Widywano go w towarzystwie prostytutek i alfonsov. Pozostawienie chłopca na pastwę takiego środowiska byłoby błędem nie do wybaczenia. Więc sąd kierując go do Państwowego Domu Dziecka, chociaż wiadomo, że dom jest przepełniony. Chłopcu trzeba udzielić pomocy póki jest jeszcze odpowiednią porą. Kiedy przyjechało, by go zabrać do ośrodka, w domu nie nocował. Był u ciotki i pił wódkę. A po libacji podchmielona ciocia nakłoniła go, by się z nią przespał.

ROZMIARY KRZYWDY

W Państwowym Domu Dziecka, przebywa ponad

sto dziewczynek i chłopców. Dom jest przepełniony. Wszystkie tego rodzaju ośrodki na terenie kraju są przepełnione.

Małżeństw, które swym postępowaniem wypaczają dziecięce charaktery, reje-struje się w naszych czasach — niestety — bardzo dużo. Teczki w sądach napełniały sprawami o ograniczenie, względnie całkowite pozbawienie rodziców władzy rodzicielskiej. Ale na skutek małej ilości państwowych domów i przepełnienia, często — mimo wyroków sądowych — dzieci pozostają nadal w rodzinnym domu, dorastają w atmosferze amoralnej, przestępczej. Czeka, aż w państwowym ośrodku zwolni się jakieś miejsce. Te, które się już tu dostały, które wyrwano ze zdemoralizowanego domu rodzinnego, można więc nazwać w przenośni — szczęśliwymi. Niestety, wyłącznie w przenośni.

Można bowiem uratować młody, podatny na zło organizm od całkowitego wypaczenia. Można zmusić chłopca lub dziewczynkę do nauki, a w końcu ten przymus przerodzi się u nich w umiłowanie wiedzy. Można stworzyć im najidealniejsze warunki do zabawy i zaspokoić dziecięce zainteresowania. Można okazać im serce, nauczyć przyjaźni, miłości. Ale nigdy nie uda się zastąpić im matki i ojca. Odczuwać będą zawsze chłód obcego domu i jakaś może nieświadomiona niechęć do życia, w którym muszą pozostać. I chociaż nie odebrano im praw do wolności, chociaż mogą z niej korzystać do woli, bo nie one, a tylko ich rodzice dopuścili się wykroczeń wobec prawa to przecież ciepło rodzinnego ogniska i wszystkie uczucia związane z tym ogniskiem pozostaną dla nich niedostępne. Będą żyły w sferze nieosiągalnych marzeń i tęsknot. A tym tęsknotom musi — niestety — towarzyszyć uraz do wszystkich ludzi, uraz tak silny, że nieraz nie starszy lat i wysiłków pedagogów, by dziecko od tego urazu oswodzić.

Ponad sto dzieci i ponad sto przeróżnych tragicznych losów, których sprawcami są w większości rodzice. Mówię w większości, gdyż za ledwie znikomy odsetek dzieci stanowią tu sieroty nie mające ani ojca, ani matki. Te muszą żyć i mieszkać do czasu uzyskania pełnoletności, ponieważ bliższa lub dalsza rodzina nie chce się podjąć ich wychowywania. Ale dzieci mające rodziców... czyż muszą tu przebywać? Czy matka lub ojciec nie zdają sobie sprawy z faktu jaką wielką moralną krzywdę wyrządzili swemu dziecku? A może właśnie teraz siedzą nad kieliszkiem i białolą nad upadkiem moralnym młodzieży?



**ZA TYDZIEŃ
W NASZEJ DYSKUSJI
ZABIERZE GŁOS**

**BRONISŁAW
GÓRECKI**

kierownik
Oddziału Szkół
Specjalnych i Opieki
nad Dzieckiem
Kuratorium
Łódzkiego

Komu pisankę,
komu piosenkę?



Fot. W. Machejko

Zołnierze w każdej potrzebie

Służa się zerwała koło Ozorkowa,
Domy stoją w wodzie — klęska żywiołowa!
Więc ludzie cywilne robią barykady...
Wożą piach furami... Nie nie daje rady!

Wyrusza wojsko
Na ludności zew!
Kompania naprzód!
Kompania śpiew!
Twarze roześmiane i mocne ramiona!
Alarm odwołany! Sprawa załatwiona!

Prawdziwe! nieszczęście we wsł Rogożyny
Wzdychają i płaczą po nocach dziewczyny.
Nie mają chłopaków, nie mają i basta,
Wszyscy wyjechali do pracy do miasta!

Więc idzie wojsko
Na dziewczęcy zew!
Kompania naprzód!
Kompania śpiew!
Twarze uśmiechnięte i mocne ramiona!
Alarm odwołany! Sprawa załatwiona!

W majową niedzielę do Górnej Dąbrowy
Przyjechał na występ teatr objazdowy!
Wścieka się dyrektor, u aktorów trema —
Już mają zaczynać a publiki nie ma!

Więc idzie wojsko
Na kultury zew!
Kompania naprzód!
Kompania śpiew!
Twarze uśmiechnięte i mocne ramiona!
Alarm odwołany! Sprawa załatwiona!

Wyrusza wojsko
Na wszelaki zew!
Kompania naprzód!
Kompania śpiew!
Z każdej sytuacji wyjdziemy obronnie
Wojsko zawsze czuwa szkolone wszechstronnie!

Dziadzio i gdański zegar

Mieszkał dziadzio na Widzewie,
W starym domku zapomnianym.
Sto siwiutkich lat miał pewnie
I dwie faje z porcelany.

I ogromny zegar gdański,
Który kupił dziadka wujek.
A z zegara z eichym trzaskiem
Pstra kukulka wyskakuje.

Refren:

W dzień czy w nocy — co godzina
Metalowy kuka ptak
A wahadła na sprężynach
Pomrukują sennie w takt:
Reumatyzm chodzi po ulicy
Kuku!
Wilgotne krople deszczu liczy
Kuku!
Wieczór się skrada,

W kominie gada
Głupi, złośliwy wiatr!
Kuku! Kuku! Kuku!
W jesiennym płaszczu świat.

Nie wychodził dziadzio z domu,
Na fotelu smutny siadał:
— Nie potrzebny ja nikomu,
Nikt nie przyjdzie, nie pogada...

Aż któregoś dnia we wrześnie
Kiedy deszcz po szybach biegł
Monotonną nudząc pieśnią —
Umilkł nagle gdański zegar.

Refren:

Nieruchomy od godziny
Metalowy milczy ptak.
Stoją tryby i sprężyny
Nie pukają sennie w takt:

Z POGRANICZA DWÓCH

WŁODZIMIERZ

KRYSIŃSKI

Korespondent

„Odgłosów“ we Francji
pisze do nas:

O życiu w STRAS- BOURGU

Szanowny Redaktorze!

Piszę ten list do Pana ni-
by z Francji, ale właściwie
to z pogranicza dwóch kul-
tur i państw, tzn. Niemiec i
Francji. W stolicy Alzacji, w
Strasbourg, bardziej niż
gdzie indziej odczuwa się
kapryśność i paradoksalność
historii.

Nie tylko samo miasto, ale
i jego mieszkańcy są tego
najlepszym świadectwem.
Częste tutaj zjawisko, że
pradziadek służył w armii
niemieckiej, dziadek zaś we
francuskiej, syn natomiast
bywał i oficerem i jeńcem
jednej i drugiej armii.

Nic dziwnego więc, że
najczęstszymi turystami są
dziś w Strasbourg miesz-
kańcy pobliskiego państwa.
Turyści to specjalnego ga-
tunku. Zatrzymują się przed
imponującą budowlą tutej-
szej katedry, zadzierają głó-
wy do góry, wchodzą na
dach, aby stamtąd zobaczyć
to „unsere Stadt“, jak wielu
z nich mówi, po czym ojciec,
matka, syn i córka śpieszą
do Wine-Stübe do Kammer-
zella, żeby tam, pijąc alzacki
Edelzwicker pogwarzyć o
tym, jakie to lepsze są wina
niemieckie. Francuzi, ze
swej strony rewanżują się
wizytami w pobliskim Kehl.

Tak, Redaktorze, niedale-
ko tu do niemieckiego Kehl,
a tam, jak fama głosi tańsze
są żyłki do golienia, mag-
netofony i restauracje. Śpie-
szą więc Francuzi do Kehl.
Śpieszą swoimi Ślimcami,
DS-amt itd. Za kierownicą
pan domu, obok pani, z ty-
łu zaś najwierniejszy przy-
jaciół, surogat potomka —
pies po prostu, inteligentne
zwierzę, wolające ślusu i
kupkę. Przeważają wilczury
i buldogi. To częsty obrazek,
Redaktorze, ten pies z tyłu
z łbem opanowanego i ma-
drego obserwatora. Kiedy
mijam cmentarz na Neudar-
gie — dzielnicy gdzie miesz-
kam, ta kawalkada wozów,
widoczna jak na dłoni jest
już długa, długością całej
Avenue Jean-Javies. Zaraz
będą w Niemczech. Daj im,
Panie Boże, zdrowie. Oszczę-
dzają. Oszczędzają na kotle-
tach.

Żyje się tutaj, w Stras-
bourg, życiem mieszczań-
skim. Doktorowa K. skarży
się, że mąż zapomina o niej,
zbyttno natomiast zajmuje
się ich psem. Znowe te psy,



Katedra w Strasbourg

- ★ PARADOKSALNOŚĆ HISTORII
- ★ TURYSŃCI SPECJALNEGO GATUNKU
- ★ POSIADACZE AUT OSZCZĘDZAJĄ NA KOTLETACH
- ★ RENU NIE WIDAC
- ★ KONTEMPLACJE NA TLE SCHWARZWALDU
- ★ RESTAURACJE Z GRAJĄCYMI SZAFAMI
- ★ ZNAKI PRZESZŁOŚCI I TERAŻNIEJSZOŚCI
- ★ JAK W PIOSENCE O „DOROSŁYM JAKUBIE“

Redaktorze. „Beppo“ jest
właśnie buldogiem, starym,
wysłużonym, ale przecież
jeszcze takim „enfant terri-
ble“, co to łamiąc mieszczań-
ski konwenans, bez żenady
pakuje łapę w półmisek z
tortem.

Doktorowa K. ceni sobie
bardzo codzienne spacerki. W
górze Wielkiej ulicy, na lewo
ku Placowi Klebor, potem
z powrotem. Spieszny kro-
kiem szybkim, oddech regu-
larny, idzie przecież o prze-
dłużenie życia, a także o li-

nie skażonej już, niegdysiej-
szej figury.

Doktor K. mówi, że sta-
nowczością, że on się nie in-
teresuje polityką, on jest a-
polityczny, z jednym wsze-
lako zastrzeżeniem — nie
kocha de Gaulle'a, bo de
Gaulle obarczył go niezłą
porcją podatku. Doktor K.
uważa że wojna byłaby non-
senssem, po cóż to komu woj-
na, jeżeli on, doktor, ma
jacht?

Renu tutaj, w centrum
Strasbourg, nie widać, Re-

daktorze. Renu raczej się
tutaj domyślam. Owszem,
wystarczy przejść się trochę
na przedmieście, minąć o-
kreślone kanały i mosty nad
kanałami, a wtedy rzeka u-
każe się nagle brudna, nie-
zwykle szybka, prawie okrut-
na. Trudno tu wspominać
złotowłosą Lorelei w tej sce-
nerii zgrzytających dźwigów,



Reumatyzm chodzi po ulicy,
... ..
Wilgotne krople deszczu liczy
... ..
Wieczór się skrada,
W kominie gada
Głupi, złośliwy wiatr.
... ..
W jesiennym płaszczu świat.

Dziadzio zegar rozmontował
I aż usiadł oniemiały —
Przy kukulce metalowej
Kukulczęta trzy siedziały...

Przeszał dziadek faję kurzyć,
Bo kaslały śmieszne ptaszki.
Pędem pobiegł przez podwórze
Po trzy deko mannej kaszki

Refren:

W dzień czy w nocy — co godzina
Metalowy kuka ptak
A wahadła na sprężynach
Pomrukują sennie w takt:
Reumatyzm chodzi po ulicy
Kuku!
Wilgotne krople deszczu liczy.
Kuku!
Wieczór się skrada,
W kominie gada
Głupi, złośliwy wiatr!
Kuku! Kuku! Kuku!
W jesiennym płaszczu świat.

Teraz w małym pokoiku
Trzy pisklęta śpią na szafie,
I za dziesięć robią krzyku
A dziadunio muchy łapie.

ŚWIATÓW

powietrza nasyconego pyłem węglowym, w tym zmechanizowanym pejzażu.

Z mojego okna, w czas pogody widać Schwarzwald — Czarny Las, pasmo gór rysujące się wyraźnie na horyzoncie. To niespodziewane ukazanie się oddalonej przyrody sprzyjać może, niech mi Pan wybaczy i wierz Redaktorze, pewnej kontemplacji, rzekłbym, historycznej. Nasza wyobraźnia, zbyt obciążona ciężkimi, dwudziestowiecznymi obrazami historii, jeszcze zda się nieostygłej, wykona wtedy śmieszna może próbę rekonstrukcji przeszłości. W tej myślowej rekonstrukcji jakże sielankowo i niewinnie, tu w perspektywie Schwarzwald, wyglądać mogą przeszłe dzieje przeszłych Übermenschów, przeszłych pokonanych spod Stalingradu.

Ale terazniejszość, terazniejszość nas wola ze wszystkich stron. Co się kryje w tej lżejszej czasce dostatnio ubranego obywatela z tamtej strony Renu? Jaki ciężar dźwiga ta starannie ostrzyżona głowa tego oto pana, co zamyka właśnie drzwi swojego Volkswagena? Zwodnicza i okrutna bywa wyobraźnia, ale także sprawdzalna. Oto czytam w dzisiejszej gazecie: aresztowano w Niemczech Zachodnich niejakiego Karla Ratha, lat 50. Zostało udowodnione, iż spowodował egzekucje tysięcy Żydów, na terenach ZSRR.

Jesteśmy jednak we Francji. Dziwne i wyjątkowe to miasto ten Strasbourg. Wokół brudnej, wijącej się rzeczki Ill, stare alzackie domki z ciężkimi okiennicami, kryte wypłowiałą dachówką. Restauracje tradycji z grającymi szafami. Ulice długie, wyciągnięte. Obok nich ulice wąziutkie i kręte o nazwach czasem paradoksalnych, nie przystających ani do urody, ani do szerokości, ani do długości ulicy. Domy ciężkie po niemiecku, olbrzymie, ponure. Małutkie kłitki z uroczymi podwórkami, pośrodku studnia.

Historia daje znać tu o sobie często. Średniowiecze zapisało swą okrutną kartę nad rzeką. Pont du Corbeau — Most Kruka — to tutaj właśnie, przy tym moście topiono skazanych na śmierć za ojcoobójstwo czy dzieciobójstwo. Zamykano ich w wielkiej klatce i opuszczano na dno rzeki. Tuż obok znajduje się hotel, w którym wiele wybitnych osobistości zdecydowało się zatrzymać. M. in. w r. 1669 nasz Jan Kazimierz tu nocował. Niedaleko stamtąd mieszkał Jan Wolfgang Goethe. Prawie w samym centrum miasta, na jednym z domów, był siedzibie prefektury, wmurowano pamiątkową tablicę. To tutaj 26 kwietnia 1792 r., w obecności mera Dietricha Rozge, de Lisle wykonał po raz pierwszy „Marsyliankę“.

Na pierwszym piętrze uniwersytetu dokument niezwykle charakterystyczny. Dotyczy roku 1872. Studenci czeszy uniwersytetu, w Pra-

dze stwierdzają, iż delegacja ich uniwersytetu na uroczystości otwarcia niemieckiego uniwersytetu w Strasbourgu (który zawsze był i będzie dla nich miastem francuskim) nie jest w żadnym razie pełnoprawną ich reprezentacją.

Jest to swolsty protest przeciw ekspansywnej polityce junkierstwa pruskiego.

I tak dalej, i tak dalej. Przykłady można mnożyć. Terazniejszość pisze swój rozdział dla potomnych wizytą Churchilla czy de Gaulle'a, pomnikiem ku czci poległych (kilka tu takich pomników w mieście i w okolicy) oraz, co nie jest najmniej ważne bynajmniej zadziwiająco chłonnością wina i piwa. Żyje się tutaj, powtarzam, po mieszczańsku. Młodzi Francuzi, tylko oni może, łamią stateczny schemat codzienności. Przesiadują do późna w kawiarniach, jeżdżą na narty w pobliże Wogezy, a przede wszystkim uwodzą swoje Dulcinee ustylizowane na Brigitte Bardot. Prócz tego śpieszą tłumnie na mniejsze czy bardziej bzdurne filmy o Tarzanie. Zresztą i ich rytm życia potwierdza, jak myślę, regułę tutejszej mieszczańskiej.

O godzinie 12 ulice wypełnia tłum pieszych i „zmechanizowanych“ obywateli. Wszyscy pędzą do stołu. O drugiej już wracają. Dziwny program dnia. Tak wciąż — da capo al fine. W niedzielę idą do kościoła. Każdy zgodnie z własnym religijnym przekonaniem. Czytają gazety, pasjonują się nie swolmi tragediami, bo sami, niech mi Pan wybaczy i wybaczy Redaktorze, nie wyglądają na to, aby przeżywali jakiegoś rodzaju tragedie natury głębszej. Idą, zda się, po linii najmniejszego oporu. Pracują we własnych sklepach. Nie wszyscy — oczywiście — nie wszyscy. W końcu to jest tak, jak w owej przejmującej piosence „Grand Jacques“, którą śpiewa Jacques Brel. Grand Jacques — dorosły Jakub — to symbol, to właśnie człowiek, który jest poza wszelką prawdziwą troską, któremu wszystko przychodzi zbyt łatwo. Taki człowiek powinien milczeć, jak chce tego piosenka, gdyż zbyt łatwo jest udawać. Tutejsi obywatele, przeciwnie, są dość krzykliwi.

Na zakończenie przypomina, Redaktorze, pisałem z Alzacji, a Alzacja choć jest Francją, to jak się tu mówi, Francją nie jest. Pisałem więc z pogranicza dwóch światów: Niemiec i Francji. Sciskam dłoń.

W. KRYSIŃSKI



Panie Redaktorze!

Łodzianie naprawdę są niewdzięcznymi malkontentami. Narzekają na swoje miasto zamiast się cieszyć, że mają taką wspaniałą stolicę i że wybudowano ją prawie tuż pod Łodzią. Poż to dla Łodzi drugi Zgierz. Nigdy jeszcze w Łodzi nie spotkałem tylu łodzian co w Warszawie. Przyjeżdżają zda się całymi dzielnicami, na delegację służbową lub na własny „szczęść“. Ponieważ szanujący się warszawiak aby spotkać „tut Warszawę“ jedzie do Łodzi i nie jest w tej czynności odesobniony, powyższe twierdzenie znajduje swoją dokładną odwrotność.

Wyście tedy dla Warszawy pomalowali jarzynowo Piotrkowską, my zaś dla Łodzi upiększamy tę, panie dziejku, stolicę a upiększamy.

Plac Konstytucji. Czegoś tu zawsze było brak. Mimo kandelabrow. Ustawiono więc na środku żagłówek. Wiatr wydyma jej żagle, przechodnie czują się jak na Sniardwach a mimo tego akcentu krajoznawczego Placowi Konstytucji jeszcze czegoś nie dostawało. I ojcowie miasta wymyślił wreszcie, co by jeszcze monumentalnemu placowi dołożyć. Takie to oczywiście, a tak późno na to wpadli. Rzecz jasna, brak było jeszcze chińskiego ogródka. Łada dzieł więc zbudowany będzie chiński ogródek z lampionami i altaną w kształcie pagody, który wespół z kandelabrami i żagłówką stworzy wdzianką kameralną i swojską całość. W chińskim ogródku podawany będzie ulubiony przysmak warszawiaków w Sniardwach — herbata z jaśminu.

Tak więc w dziedzinie usług Warszawa też dzielnie konkuruje z Łodzią. Przedświąteczne zakupy w PDT na Pradze urozmaicone były pomysłową reklamą. Oto w tłum kupujących wmieszali się modelki ubrane we wdzianka sprzedawane na stoiskach. Kto zidentyfikował modelkę — otrzymał skromny upominek — jakąś taką prawie lokomotywę. Akcją kierował Sherlock Holmes w ubranku w kratę, z lupą i fajką w zębach. Rzadko jednak komu udało się zidentyfikować modelkę i wyłowić ją z tłumy kupujących. Dzięki temu genialnemu pomysłowi reklamowemu każdy warszawiak dowiedział się, że szalowych kreacji wiosennych sprzedawanych w PDT nie sposób odróżnić od starych, wysłużonych, zimowych łachów z grzbiętów klientek „Maison Praga“.

A propos Holmes. Całą Warszawę wzruszył sukces miejscowej milicji. Pewnego dnia jakiś dyrektor z kontroli technicznej przy jednej z wytwórni filmów we Francji zaszczylił swą obecnością Polskę, gdyż przejeżdżał z Paryża do Moskwy właśnie przez Warszawę. Niecodzienne to wydarzenie uświetniło dwóch gentlemanów, którzy wkręcili do przedziału i bez słowa zaczęli Francuza całować. Oblatany Francuzik dał się bez oporu obślinić, gdyż wiedział, że ten bakteriotwórczy system powiłał jest specjalnością narodową kochających ojczyznę Chopina i Mickiewicza i tym podobnych Polaków. Niebawem witający opuścili przedział unosząc kamerę filmową, aparat fotograficzny i kilka innych drobiazgów. Potem poślaz odjechał, Fran-

● Śniardwy na Placu Konstytucji ● Herbata z jaśminu dla Sniardwach ● Sherlock Holmes w „Maison Praga“ ● Uroczystość z okradzionym Francuzem ● Wernisaż Krzysztofiaka ● Sposób na frekwencję ● Boski masażysta i boska TV ● Dlaczego Warszawa jest największym miastem świata?

cz już z Moskwy zawiadomili milicję o wypadku. MO uwinęła się rażno. Złapała złodzieja tym łatwiej, że miał 2 metry wzrostu, 2 metry w obwodzie i wyglądał jak hipopotam czyli odmienne niż spora część mieszkańców stolicy. Kiedy Francuzik wracał potem z Moskwy w domowe pielesze na dworcu odbyła się uroczystość zwrócenia mu skradzionego mienia. I znowu było wydarzenie.

A propos. Ewenementem artystycznym stolicy stał się wernisaż naszego wybitnego malarza Hilarego Krzysztofiaka, urządzony w pracowni własnej przy ul. Smolnej nr. 40 IV p. front. Pracownia



mistrza mimo skromnych rozmiarów ograniczonych normami kwaterekowymi pomieściła całą Warszawę. Pełną listę gości zawiera książka telefoniczna miasta st. Warszawy i województwa warszawskiego. W Łodzi do wglądu na pocztce.

Wystawa zgromadziła ponadto z całą pewnością wybitne dzieła sztuki, których wszakże waszemu reporterowi nie udało się dostrzec. Albowiem primo: wernisaż odbył się wieczorem, secundo: światła nie zapalano, gdyż właściwa percepcja dzieł sztuki nie znosi sztucznego oświetlenia, tertio: obrazy powieszono nisko na ścianach, ściana zaś spoza ludzi nie było widać. W chwili gdy piszę te słowa, rozpoczęły kilka dni temu wernisaż jeszcze trwa, co tłumacza zarówno trwałę wartość malarstwa Krzysztofiaka jak i niezwykle trwałą obfitość jego prywatnej piwniczki. Wśród pięknie ubranych pań obecnych tu wyróżniły się członka na przygrubionej acz wysokiej szpilce powyżej zakładeczki, mureczki i pilski. Wszystko w kolorach pa-



stelowych. Tu i ówdzie skromna biżuteria.

Podobnie eleganckie stroje wieczorowe widuje się tylko na „Wszystko o Ewie“ w Sali Kongresowej. Do Filharmonii bowiem panie nie noszą sukien, a tylko futrzane etolety i biżuterię.

Skoro już o personach mowa... Władze kwaterekowe przydzieliły ostatnio Makuszyńskiemu, Nałkowskiej, Staffowi i Rydłowi własne ulice. W środowiskach twórczych mówi się ze zgrozą, że dziś w Warszawie łatwiej dostać własną ulicę niż własne mieszkanie. Rada Narodowa uczciła też nazwami ulic fakt że żyjemy w wieku atomu i lotów kosmicznych. Nowe ulice zwa się więc: Kamasznicza i Kapelusznicza. Młodszemu pokoleniu sens

tych nazw wyjaśnia Mała Encyklopedia PWN.

Nie jest to wszakże jedyne wiekopomne posunięcie kolektywnego ojca miasta. W związku z tym, że tu i ówdzie mówi się o spadku frekwencji w teatrach — władze miejskie postanowiły nadać tym obywatelom Warszawy, którzy uczęszczać będą do przybytków Melpomeny nawet w wiosennej porze kslułów — ważny i zaszczytny przywilej. Oto miasto odwozić będzie ich do domu nie zwykłymi, ale niezwykłymi, zgola umyślnymi autobusami. W tym celu utworzono specjalne przedsiębiorstwo i przystąpiono do budowy na środku Placu Defilad specjalnej budowli reprezentacyjnej acz drewnianej. Urządować w niej będzie zarząd przedsiębiorstwa oraz dyspozytor, który na wiadomość, że w jakimś teatrze zaczyna grać — wysłać będzie z Placu Defilad do tego miejsca autobus. Na wiadomość zaś, że gdzieś kończy się spektakl wysłać będzie autobus po widzów. Przy okazji ów dyspozytor udzielać będzie informacji, gdzie co grają, na co warto a na co nie warto iść. Będzie on też sprzedawać bilety do wszystkich teatrów które potem w kasie teatru wymieni się na normalne bilety, pod warunkiem oczywiście, że takowe jeszcze znajdują się w sprzedaży. Mam nadzieję, że w ten sposób powoli dyspozytor autobusów przejmie też politykę repertuarową teatrów.

Czym pasjonuje się Warszawa? Przede wszystkim



żywym bogiem o nazwisku Wilk i jego wyznawcami. Sekta tę liczącą 60 członków odkrył (nie mylić z czasownikiem wymyślił) bibliista i chuliganolog, Stanisław Manturzewski. Jestem pierwszym, który o tym pisze. Proszę to docenić, bo o tej religii przyszłości już za tydzień będzie głośno.

Pan Wilk jest z zawodu masażystą, z powołania zaś autentycznym bogiem, który zstąpił na ziemię i pozwała do siebie się modlić. Pieśni religijne nowej sekty stanowią mieszanię melodii: „Most na rzece Kwał“, „Tango Milonga“ i „Kukułeczka“ z „Mazowsza“.

Poza tym coraz bardziej boski charakter przypisuje się Telewizji Warszawskiej. Ma ona w st. m. Warszawie o wiele więcej wyznawców niż odbiorców. Gmach przy Pl. Wareckim gromadzi co dzień całą Warszawę, oczywiście w tych godzinach, kiedy nie odbywa się wernisaż Krzysztofiaka. Ostatnio ogłoszono tu młodzieżowe eliminacje, mające wyłonić piosenkarzy i wszelkie talenty. Z tej okazji odbyła się zbiórka manifestacja młodzieży na Placu Wareckim. Barak telewizyjny grupuje wszystko, co Warszawa ma najlepszego: artystów, kawę, pisarzy, salatkę włoskie, dziennikarzy, „Istre“, mistrzów wszelkich rzemiosł w tym i mistrzynię najstarszego spośród nich, dalej zredukowanych z administracji, pogniwianych na przemysł i

handel, nie mających nic innego do roboty, pomoce domowe szukające posad i panie szukające pomocy domowych. Do tego: muzycy, tancerze, baletmistrze i strażacy. Telewizja co dzień wchłania nowe tysiące współ- i pracowników. Ginią oni w tym czteropiętrowym budynku i już nazajutrz ich miejsce zajmują nowi. Dyr. Pański podejrzewany jest więc o zainstalowanie tajemnego urządzenia, z pomocą którego przetwarza pasjonatów TV na fale i wysyła ich we wszechświat. Jest to wyjście doskonałe, umożliwia bowiem każdemu choćby jednodniową pracę w telewizji. Niestety, ponoć sprzeczne z kodeksem karnym. Zresztą nie uprzędzajmy oficjalnego dochodzenia milicji.

Na koniec wreszcie z dumą donoszę, że Warszawa, w pewnym sensie jest największym miastem świata. Przede wszystkim jest większa od licznych państw europejskich. Np. Monaco lub Watykanu. Poza tym w subiektywnych odczuciach mieszkańców jest większa od takich metropolii jak Nowy Jork, Londyn czy Paryż. Nie chodzi tu o „uczucia dumy“, narodowe megalomanie, stonoiwatość wszelkiej polskości i temu podobne wyswiechtane skojarzenia.

Po prostu. Paryżanin, londyńczyk czy nowojorczyk nie wychyla nosa z własnej dzielnicy i ma poczucie, iż żyje w małym miasteczku. Natomiast warszawianin mieszka na Mokotowie, pracuje na Żeraniu, kupuje w śródmieściu lub na Woli, do kina jeździ na Pragę. Jak igłę kupi na Żoliborzu, to po nitkę leci na Grochów. A po śmierci kopnąć się musi heł na Powązkach. Codziennie przebywa więc o wiele większą odległość, niż gdyby każdego dnia jeździł do Łodzi i z powrotem. A przynajmniej więcej to zajmuje czasu. Ponieważ jednak już się przyzwyczail, wspaniałe plany dalszej rozbudowy Warszawy dostosowane będą do tego jego przyzwyczajenia. Plan przewiduje: kupować — w śródmieściu, bawić się — tylko na Powiślu, pracować za miastem, mieszkać w mieście, ale na peryferiach. Wieczny odpoczynek bez zmian.

W ten sposób miasto będzie ładne i ruchliwe. Urbanisci bowiem mówią, że mia-



sto zupełnie inaczej wygląda, jak im się ludzie w nim ruszają. Czemuż łodzianie narzekają i mają jakies tam ciagotki skoro po myśli owych urbanistów mogą się czuć warszawiakami?

Redaktorze. Niniejszym uchylam modnego, filcowego kapelusza.

BOGUMIL BRECHTA

odqTosy str. 7

WYWIAD

z dyrektorem
Państwowej
Filharmonii
Łódzkiej

**EDMUNDEM
BUGAJSKIM**

PYTANIE: — Panie dyrektorze, zna Pan chyba najlepiej historię naszej Filharmonii, okresy jej impasów i świetności. Jaki według Pana okres jest okresem jej najpełniejszego rozwoju?

ODPOWIEDZ: — Niewątpliwie okres, jaki obejmuje kadencja obecnego kierownika artystycznego Henryka Czyży. W drugim półroczu 1957 roku oraz w sezonach 1958-59 i 59-60 Filharmonia nasza rozwija się najszybciej i najbardziej prawidłowo. Zaznacza się to wyraźnie wprowadzeniem do repertuaru całego szeregu zna-

komitych dzieł, znacznej konsolidacji orkiestry, która od 1957 roku stanowi zwarty kolektyw o dużych ambicjach artystycznych, występami na naszej estradzie wielu światowej sławy solistów (Rubinstein, Małcużyński, Zak, Roztropowicz) a także zespołów: Filharmonii Leningradzkiej czy Nonetu Praskiego. W okresie powyższym uzupełniliśmy również wiele braków w instrumentach: zakupiliśmy wielki fortepian koncertowy firmy „Steinway”, klawesyn, rożek angielski.

PYTANIE: — Chór naszej Filharmonii mimo że jest zespołem amatorskim zdobył sobie duże uznanie. Pamiętamy entuzjastyczne głosy prasy warszawskiej po zeszłorocznych koncertach. Od kiedy datuje się jego rozwój?

ODPOWIEDZ: — Również od czasu objęcia stanowiska przez dyrektora Czyży. Chór nasz jest w zasadzie zespołem amatorskim, częściowo subwencjonowanym przez

miasto. Chcemy rozłoczyć nad nim wzmoczoną opiekę, zdając sobie sprawę, że od jego rozwoju zależy dobre wykonanie wielu oratoriów.

PYTANIE: — Na koniecie Panie Dyrektorze — trudności, bolączki, plany na przyszłość.

ODPOWIEDZ: — Najważniejszą naszą bolączką jest opóźnianie się wykonania dokumentacji na przebudowę Filharmonii jak również sprawa kredytów. Chcemy naszą Filharmonię przebudować. Oprócz dużej sali koncertowej planujemy małą (na 200 miejsc) salę kameralną. Bardzo poważnym i wymagającym szybkiego rozwiązania jest problem pozyskania nowego kierownika artystycznego i I dyrygenta dla Filharmonii Łódzkiej, ponieważ dyr. Czyży kończy swoją kadencję 30 czerwca. Postaramy się jednak ten problem rozwiązać tak, aby nic nie stracić z dorobku poprzednich lat.

Rozmawiał: M. W.

WYWIAD

z kierownikiem
artystycznym
i dyrygentem
Państwowej
Filharmonii Łódzkiej
**HENRYKIEM
CZYŻEM**

Ja: — Panie dyrektorze, łódzcy melomani i nie tylko melomani śledzą z ucieszeniem lokalnego patriotyzmu Pańskie (tu p. Czyż) podpowiada mi: poczynania osobiste) wojaże zagraniczne przynoszące Panu z reguły sukcesy. Niewielu jednak łódzian zna początki Pana kariery. A więc: jak to się zaczęło?

Henryk Czyż: — Muzyką interesowałem się po amatorsku już od dawna. Po wojnie jednak wstąpiłem na prawo, a po rocznych studiach przeniósłem się na filozofię, gdzie studiowałem dwa lata. W tym czasie zmieniłem system studiów filozoficznych i znalazłem się w punkcie wyjścia. Wtedy właśnie, w 1948 roku rozpocząłem studia muzyczne w Poznaniu, jednocześnie w klasach dyrygentury i kompo-

zycji u prof. Bierdajewa, zaczynając również dyrygować orkiestrą Filharmonii w Bydgoszczy. Dyplom uzyskałem w 1952 roku, po czym pracowałem rok jako dyrygent Opery Poznańskiej. Następnie Grzegorz Fitelberg zaangażował mnie do WOSPR w Katowicach. Pierwsze światowe zaproszenie przyszło z Paryża w 1956 roku. Dalej już było ich więcej: Węgry, Czechosłowacja, W. Brytania, ostatnio Związek Radziecki.

Ja: — Prowadził Pan u zja Pana jest nieodwołalna? H. Czyż: — Pracowałem w Łodzi pełne trzy lata i chciałbym teraz poświęcić się pracy kompozytorskiej, poza tym mam wiele zaproszeń na występy zagraniczne.

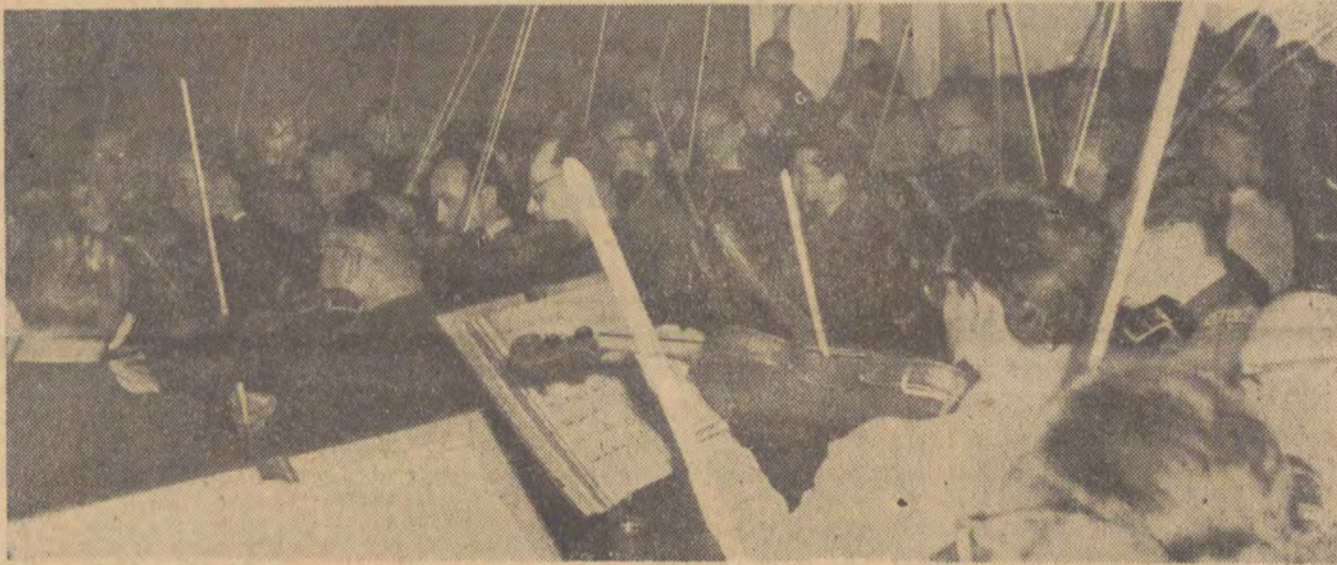
Ja: — A więc doszliśmy do tradycyjnego pytania: plany na najbliższą przyszłość?

H. Czyż: — W najbliższym czasie (kwiecień) jadę na miesiąc do Bulgarii. W maju wracam i jadę z orkiestrą, chórem i solistami na dwa koncerty do Warszawy. Cały przyszły sezon spędzam za granicą: Jugosławia, Węgry, Anglia, Stany Zjednoczone, Meksyk, Wenezuela i jeszcze raz Związek Radziecki.

Ja: — Wypada więc życzyć sukcesów i śledzić choć z daleka Pańskie „poczynania osobiste”.

Rozmawiał: M. J.

FILHARMONICY CZEKAJĄ NA SŁUCHACZY



Fot. Z. Walter

1 O PRACY

Ładnie to wygląda: kilkadziesiąt panów we frakach, dyrygent, oklaski, potem koncert, znów zasłużone oklaski i koniec. Można się śmiać, że to jest już nie muzyka, to tym małym misterium ładności, tą zupełnie specyficzną, nie do odtworzenia w innym miejscu atmosferą. Ładnie, lek-

ko, bez wysiłku... A jak to jest „od podszewki”? Na przygotowanie jednego koncertu trzeba przeciętnie jednego tygodnia. Codziennie orkiestra w całości lub sekcjami ćwiczy 4 godziny. W każdym prawie koncercie występuje solista. A więc jeszcze dwie próby z solistą. To przeciętny koncert. Pamiętajcie przedostatni! Pędzła wybitnego batalisty trzeba by dla zobrazowania jego przygotowań. Bo proszę: orkiestra, chór, soliści, recytatorzy. Próby niemal od rana do nocy. To też ładnie, ale w zupełnie innym rodzaju. To bardzo trudna, wyczerpująca praca. Każdy temat, każda fraza, każda nutka prawie pieczołowicie, troskliwie oszlifowana. Trudno sobie uzmysłwić ile trzeba włożyć wysiłku, aby wykonanie zabrzmiało właśnie ładnie, właśnie lekko i też wyjątkowo. Byłem świadkiem metamorfozy głosu Henryka Czyży od lirycznego tenora do skondensowanego kontrabasisty. Uwierzyłem, że po palcażu okretowym i górniku na przodku dyrygent wykonuje najcięższą pracę. Pracę fizyczną.

2 O KONCERTACH I OBYCZAJACH

Był taki koncert — bez udziału wielkiej sławy, bez odświętnego nastroju. „Tętno Marcyk” prowadził Symfonię nr 94 G-dur „Z uderzeniem w kocioł” J. Haydna. Był taki koncert „Stworzenie świata” — dyrygował Henryk Czyż, Zygmunt My-

cielski pisał w „Przeglądzie Kulturalnym”: „Oddajmy cześć Łodzi. Czemu to oni nie zrobili! My naprawdę rozwijamy sztukę oratoryjną!... wszystko każe gratulować Filharmonii Łódzkiej tego wielkiego sukcesu”. Przypomnijmy sobie — młody dyrygent Witold Dobrzyński prowadził R. Straussa „Śmierć i wyzwolenie”. Jeszcze orkiestra pod dyrykcją Z. Chwedczuka wykonała VI Symfonię Czajkowskiego. (Po tym koncercie pewien łódzki krytyk na piśmie, że był za długi, że czwarta część Symfonii zmęczyła ostatecznie słuchaczy. Czwarta część, przepiękne Adagio lamentoso! Niech mu ziemia tak ciężka będzie, jak ciężka dla niego była czwarta część Symfonii Czajkowskiego). To wszystko były koncerty codzienne. Celowo nie przypominam tu wielkich nazwisk występujących na naszej estradzie. Celowo wybieram te, które odbyły się przy niewielkim udziale publiczności. No bo jak Małcużyński, to oknami i drzwiami, jak Michel Block, to dyrektor Bugajski robi cuda, aby gdzieś posadzić cudownie rozmnożonych melomanów, jak Rubinstein, to nawet smokingi, sto lat, wieczorne toalety. O łódzki melomani z gatunku tych cudownie rozmnożonych! Tych, którzy ronią łzy, dłońmi czola podpierają, w ekstazie kiwają głowami, tych którzy Michela Blocka prawie by na rękach nosili, bo taki mały i rudyutki — wzywam was do snobizmu. Snobujcie się kochani na codzień. To dobry snobizm.

Można się czasami naprawdę zarazić dobrą muzyką. Zapewniam was że jest gdzie. W Łódzkiej znakomitej Filharmonii. Wiedzą o nas w Warszawie, w Katowicach, w Krakowie i w Poznaniu. A my ciągle: Malcużyński... (tu wszystko jak wyżej). Za 100 złotych wydana na zobaczenie Rubinsteina można usłyszeć co najmniej dziesięć dobrych koncertów. Bo u nas innych nie ma — skala zaczyna się od „dobry”. A co będzie kiedy już się zarazić?

3 O KULTURZE MUZYCZNEJ

Początkujący meloman zaopatruje się w abonament lub zaopatruje się w bilet na koncert przynajmniej raz na trzy tygodnie. Przed koncertem goli się albo myje, lub goli się i myje. Odziewa się w ciemny kolor i krawat lub odziewa się starannie. Znajduje się w Filharmonii przynajmniej na 5 minut przed koncertem. Kupuje program. Zapoznaje się. Uspokaja rozdygotane nerwy, siada i skupia się. Nie rozmawia i nie kaszle. Nie patrzy na wykonawców przez lornetkę. Słucha. Po koncercie nie czyta recenzji z koncertu, albowiem tych przeważnie nie ma. Przekształca się w melomana zaawansowanego, który już przepiślować nie potrzebuje.

Oczywiście, można w czambuł potępić „meloma-

nów”, publiczność chodzącą na nazwiska, a nie koncerty. Trzeba jednak poważnie zastanowić się nad przyczyną istniejącego stanu rzeczy, nad drogami, które trzeba wybrać, aby dojść do społeczeństwa umuzychnionego i „ukulturalnionego” muzycznie. Jakże są fakty?

Muzyka symfoniczna nie cieszy się popularnością. Kultura muzyczna naszego społeczeństwa do dziś jeszcze stanowi przedmiot narzekania publicystów — jest rzeczywiście niska. Wiedza muzyczna przeciętnego słuchacza radiowego (przyjmijmy, że radio ma największy wpływ w procesie umuzychniania) ogranicza się do tego, że nieobce mu są (i nie więcej) nazwiska Chopina, Mozarta, Beethovena. Znamość tych nazwisk zresztą powoduje przeważnie szybkie wyłączenie odbiornika radiowego. Muzyki symfonicznej nie słucha się. Nie jest to naturalnie sąd generalny, obejmujący całe społeczeństwo. Ośmielam się jednak twierdzić, iż ludzi zasługujących na miano prawdziwego melomana, tych, którzy swoje muzyczne znanostwo czerpią nie tylko ze słuchania, ale i amatorskich studiów muzycznych jest fak niewiele, że liczba ich idzie w ułamek procentów. Nie ma przepaści między tą pierwszą a drugą grupą. Miejsce to zajmują ludzie lubiący muzykę i słuchający muzyki. Z tej chyba grupy wywodzi się lwa część słuchaczy koncertów.

Stan narysowany wyżej

byłby stanem normalnym, gdyby nie to, że zbyt wielka jest przewaga pierwszej z omówionych wyżej grup i gdyby nie to, że awans jest wyjątkowo niewielki. Bo chyba ten awans właśnie jest warunkiem nieodzownym podniesienia poziomu kultury muzycznej w społeczeństwie. Mało się robi w tym kierunku. Upadek kultury śpiewaczej, niczym nie tamowany zalew piosenki, szmery schlebliwej i kształtującej mieszczańskie gusta, zaniedbanie akcji popularnych koncertów umuzychniających — to są między innymi fakty, które powodują proces odwrotny do tego, jaki powinien być zamierzony i, wiery: jaki jest zamierzony.

Zejdźmy z wysoka do Łodzi. Choćby prasa. Skrzętnie się notuje i szumnie reklamuje występ Jacqueline Francoise (notabene na pewno świetnej pieśniarce), o znanym sobie głośno, że w naszym mieście wystąpi Janusz Gniatkowski i Zespół Gitar Hawajskich Jana Ławrusiewicza (tu westchnę ciężko i to westchnienie niech w obu wypadkach wystarczy za ocenę), ale trzeba aż Artura Rubinsteina, aby sobie przypomniać o istnieniu w Łodzi instytucji zwanej Filharmonią. Tu wniosków wyciągać nie trzeba, tu się aż okrzyk wyrywa: sprawiedliwości! Znamolomita Filharmonia istnieje w mieście dla 3 tysięcy osób. W 700-tysięcznym mieście! Aż przykro kończyć z tak pesymistycznym akcentem.

M. W. CZEKIEWICZ



Fot. Z. Walter

str 8 **odgłosy**

Władysław Rymkiewicz ROMANSY KROLEWSKI

Powieść historyczna

XVI.

Streszczenie

Starcie pomiędzy podkanclerzem Radziejowskim a braćmi jego żony — z którą romansuje król Jan-Kazimierz — zakończyło się wydanem przez Sąd Marszałkowski wyroku, skazującego podkanclerzego na śmierć i wieczną banicję, a panią Radziejowską na osadzenie w wieży. Podkanclerzy Radziejowski postanawia prosić o list żelazny, który chroniłby go przed wykonaniem wyroku, księcia Dominika Zasławskiego. Tymczasem w pogon za podkanclerzem wyrusza dworzanie królewski, podkomorzy Butler.

Ojciec furtian przeraził się wyrazu twarzy wysłannika królewskiego. — Według starego prawa jeszcze z czasów Króla Kazimierza Wielkiego, trzem dostojnikom koronnym przysługuje przywilej zabezpieczenia życia banity na przeciąg dwóch tygodni.

Butler odstąpił od furty. — Biskup krakowski Gębicki zbył pana Radziejowskiego obietnicą wstawienia się za nim do króla, ale wydania glejtu odmówił — prostoduszny braciśzek opowiadał bolejącym głosem. — Wojewoda sandomierski Myszkowski wymówił się chorobą ręki. — Pojechał do Wiewiórki, powiadasz ksiądz? — Butler nie czekając na odpowiedź ruszył w kierunku śródmieścia ostrym wydłużonym krokiem. — Nie wiem! — wołał zakonnik przez kwadratowe okienko. — Wyjechał tydzień temu!

Gabrys Zapartek zerwał się z ławy. Głowa sięgała powąły. — Wyjeżdżamy? — z burzeniem zapytał nie ukrywając gwałtownej niechęci. Napracował się do zdechu przy doprowadzaniu izby do porządku, wymiolił śmiecie, zalał robactwo ukropem, wymościł ściany kobierzami i makatami. Kwatery wyglądała jak komnata zamkowa.

Zapartek zostaje. Będzie czekał w Piotrkowie na pana Tyzenhauza — z krótkim urywanym oddechem człowieka, który szedł szybko, Butler rzucił krótkie urywane rozkazy. — Pan Tyzenhauz, gdyby przyjechał, niech czeka na mnie. Wróć jutro, najpóźniej — pojutrze.

Obaj, stangret i pachotek, patrząc wilkiem spoje ła, jakby mieli zamiar skoczyć panu do gardła, słuchali z milczącą wściekłością.

Stryjak zaprzęgać! Woźnica powlócząc nogami udał się do stajni. — Męczydusza, psiamac! — kłął dzień, w którym podziękował za służbę u podkanclerzyny i zaciągnął się do królewskich furmanów. Butler, diabeł, duszę by potrafił wytrząsnąć z człowieka!

Do Wiewiórki przyjechali na noc, z jednym popasem w połowie drogi. Zamek wojewody krakowskiego, pobudowany w prostokąt, z basztami na narożnikach, miał bardziej charakter fortelicy niż wielkopańskiej rezydencji. Od majaczących niewyraźnie jak ogromne skały na tle granatowego

nieba konturów wiało ponurą grozą warownych murów. Gdzieniedzie przebliskiwało słabo czerwone światło.

Wysłannik królewski do pana wojewody krakowskiego księcia Zasławskiego — stangret na pytania strażnicy powtarzał odpowiedź.

Zgrzytnęta maszyna i wrzeczadze przy opuszczaniu zwodzonego mostu-bramy. Kolasa turkocąc wjechała po moście nad fosą na ogromny dziedzińiec. Od dymiących pochodni padał szkarlatny blask na ażurową galerię z filarami z kamienia otaczającą podwórze.

Dworzanie rękodajny wojewody zaprowadził podkomorzego do sali rycerskiej oświetlonej drżącym światłem woskowych świec, płonących w ogromnym pajaku z weneckiego barwistego szkła. Odblaski płomyków pełgały po obnażonych koncerzach i dzidach, po szmelcowanych zbrojach husarskich ze skrzydłami wzniesionymi wzdłuż ścian. W bogato wylaczanym suficie połyskiwały różycie otaczające malowidło wyobrażające bitwę pod Obertynem z postacią sławnego wodza Jana Tarnowskiego, niegdyś posiadacza Wiewiórki.

Z portretu bohaterskiego wodza na plafonie Butler przeniósł wzrok na starca w zielonym żupanie. Podpierając się jak laską czekaniem określonym srebrnym drutem, ksiądz zbliżał się szybko, niski, chudy, przygarbiony. Pochyloną siwą głową prął energicznie powietrze, jakby chciał ubość śmiałka, który odważy się stanąć mu na przeszkodzie.

— Witam waszmość pana — głowa poderwała się sprężysto.

— Służba, mości ksiądz — ze sztywną grzecznością odrzekł Butler.

Ubrany po turecku pajuk otworzył szeroko podwoje do sąsiedniej komnaty.

— Waszmość zdrożony. Proszę na wieczere — wojewoda wskazał kanciastym ruchem drogę i stukając czekaniem o podłogę podążył z gościem do stołu.

Służba wnosila z pośpiechem półgęski i europieki, długie platy wołowego mięsa szpikowanego słoniną.

— Jedz waszmość, proszę! Późna godzina. Czas się do snu sposobić. Dziwną porę wybrałeś na odwiedzinę.

Na stół wjechały jabłka kwaszone w kapuście, kyszki-pierogi wypełnione smażoną cebulą i cykaty pomarańczy zapiekane w cukrze i miodzie.

— Pijże waszmość tę rosa solis, jak ją nazywają klechy! — wojewoda parsknął śmiechem.

Butler tyknął ognistego plynu. — Pora spóźniona, to prawda. Rzecz w tym, że sprawa nagli. — Obracał z zastanowieniem czarkę w palcach. — Podkanclerzy Radziejowski, infamis i banita, uciekł z małą pieczęcią podkanclerską.

Prędko starczy gniew zjeżył siwą szczęć, krzaczaste brwi i wasy wojewody. — I nie dziwo, że musiał uciekać, skoro król rozesał swych ludzi po całej Rzeczypospolitej, żeby ścigali pana Radziejowskiego i uśmiercili jak psa — zrywającym się głosem skrzeczał.

— W bezprawnym osadzeniu podkanclerzego przez sąd marszałkowski pogwałcone zostały swobody i przy-

wileje szlacheckie. — Machnął ręką na usługujących hajduków: — Wszyscy przez!

I po ich wyjściu: — Królowej to sprawa! Ona to zasada się na władzę panów Królestwa, chce zaprowadzić dominium absolutum — w starczej chrypcie zacierały się słowa. — Nie doczekanie! Władysław Czarty też próbował zniszczyć magnackie familie i wiadomo, czym się skończyły królewskie zamysły. Sie semper tyrannis! Ale w imię czego działa Francuzica? Jaki cel jej przyswieca?

— Ja mam to waszej miłości tłumaczyć? — Waszmość bliżej tronu

— Powiadają, że chce zamienić tron z obieralnego na dziedziczny? Wiadomo, dynastyczne ciągoty ją rozpierają. Ale są tacy, którzy ją biorą za agentkę kardynała Mazariniego, co chciałby dla Francji wziąć Rzeczpospolitą na powrót — krztusił się ze złości. — Dodaj waćpan do tego ponętę mamony, a będziesz miał pełny obraz — sztycherzy rehot wypełnił komnatę.

Stukając czekaniem przeszedł nieśpiesznie od pieca ku stołowi. — Dlatego woję przy dawnych obyczajach trwać i tych nie naruszysz nie błądzić, niżli po niepewnym gruncie stapać gubiąc najcenniejszy klejnot

rękojeści szpady, zakotywał z pogardliwym ubolewaniem głową. — Los starwia przed człowiekiem rozmaite zasadzki — wyraz nienawiści zaległ kąciki ust.

— Zasadzki, powiadasz waszmość?

— Przed księciem panem wystawił Piławce, a teraz...

Pan zamku na Wiewiórce trzasnął czekaniem w stół. Dźwiękneły srebrne misy. Z rzeźbionej krawędzi płyty posypały się drzazgi. — Waszmości tam nie było — pobladły wyszczerzył zęby.

— Waszmość nie patrzył na tamto piekło.

— Książę męci się na królu za „piugawiecką” kleskę. Za kleskę całego swego życia. — Z rozstawionymi nogami, jedną ręką podpierając się pod bokiem, drugą zaciskając na jelicu szpady, — zaciskając na jelicu szpady, wie wyniosłego lekceważenia zdawał się natrzasać z piławieckiego regimentarza.

— Dając glejt współnikowi ucieczki — mówił z brutalną obelżywością — dwa-kroć splamił swe imię wojewoda krakowski, ksiądz na Ostrogu i Zasławiu, hrabia na Tarnowie.

— Mnie — ksiądz zgiął się w parolczyzmie kaszlu i wściekłości, twarz zabarwiła się ognistą czerwienią. —

Królewski ceklarzu! — Zbliżał się z pewnością zwycięstwa, nienawiść dodawała mu sił, mały, chudy, zjadły, rozwścieczony staruch, śmiejący ze wzniesionym nad siwą głową potężnym koncerzem, groźną bronią w rękach mężów zakutych w stal, nie w rękach karłów, śmiejący a przecie niebezpieczny w starczej zapalczywości karzeł, który z koncerzem w ręce chciał przerosnąć samego siebie.

— Pod Piławcami, mości ksiądz! Pod Piławcami był na to czas — drwił powlodził Butler. — Pod Piławcami trzeba tak było stawać! — Wyciągnął z pochwy szpadę i przybrał posawę szermierczą.

Wojewoda spróbował sekundy, cięcia z dołu w górę pod brodę. Dobrze robił bronią. Butler odparował cios. Drugie cięcie zadał pan Zasławski *quartem*, „senatorskie”, dolne, ukośne od lewego boku. Butler z rozmachem, z wielką siłą, celując ostrzem ciężkiej szpady w górę zranil starca w ramię. Wytrącony z ręki koncerz dźwięknął na marmurowej posadzce.

— Otóż i znalazł waszmość, czego szukał! — Butler wpuścił szpadę do pochwy. — Sufficit!

Na schodach spotkał się z dworzaniem rękodajnym. — Spiesz waćpan do księcia, opatrzyć zranienie. Staremu przypomnieli się młode lata, chciał mi dać lekcję fechtunku i nauczyć robienia bronią.

Nazajutrz w południe Stryjak strzelając z bała wjechał na piotrkowski Rynek. Butler zastukał w okienko. — Zobacz, co się tam dzieje przed Ratuszem.

Stryjak zszedł z kozła i wrócił po niedługiej chwili. — Gawieź powiada, że pan Radziejowski uciekł do Weneccji, a stamtąd ma jechać do Turków na polurzenie — patrzył na podkomorzego zuchwale prosto w oczy, zadwolony, że panowie kłócą się między sobą. — A ten papier, co ludzie czytają, to glejt od pana wojewody krakowskiego — uśmiechnął się znacząco.

— Podjedziesz pod Ratusz — rozkazał Butler. — Podjedziesz pod Ratusz i staniesz tak, żebym mógł wyczytać, co tam wypisano w tym obwołaniu.

Kolasa wjechała w tłum zgromadzony pod wieżą z zegarem, oblepioną budam, jatkami, kramami. — Z drogi! — wrzeszczał stangret.

Pudło otarło się o budę i kram. Zajazgotwały wściekle przekupki, wygrażały panu pięściami.

„My Władysław Dominik Zasławski, pan i ksiądz na Ostrogu i Zasławiu, hrabia na Tarnowie, wojewoda krakowski, starosta łucki i dobczycki wiadomo czynimy” — nie podnosząc szyby odczytywał Butler wypisane okrągłą italią zdania na wielkim arkuszu pergaminu przymocowanego do muru. „Ponieważ leży w interesie wolności publicznej, aby żaden obywatel z powodu gniewu królewskiego nie popadł w niebezpieczeństwo życia i majątku, a myśmy się dowiedzieli, że JW Hieronim Radziejowski znalazł się w niebezpieczeństwie z powodu pewnej urazy JKMości, i że tenże podkanclerzy w nieobecności swej, zupełnie o niczym nieświadom, jakimś niezwykłym procesem w sądzie JWmanszka nadwornego zaplątany i jakimś karą infamii i innymi kryminałami obłożony został tak, że z powodu tego ani krzywdy swej w trybunale ani do łaski JKRMci udać się nie może...”

Rys. Tadeusz Kokietek

— ksiądz odparł kąśliwie. — Powiesz może, że twój Kajkojan z miłości ściga zemstą pana Radziejowskiego? Czy aby nie z miłości do podkanclerzyny? — zakaszlał.

— Powiem, że Rzeczpospolita wyczerpuje swe siły w targach wewnętrznych. Wielkie familie kłody rzucają pod nogi królów i królowej.

— Nedto zuchwały waszmość! — w starczym zacietrzewieniu pan Zasławski zastukał czekaniem.

Porwał się od stołu obrażony podkomorzy.

— Ale w imię czego rządzi Francuzica, pytam? — wojewoda wstał również. —

stanu szlacheckiego, złota wolność, która jest fundamentem naszej kochanej ojczyzny.

— Wszyscy się wolnością szlachecką bronią, wszyscy ten płaszcz na swe zbrodnie kładą — Butler zaśmiał się grubiańsko. — W imię wolności infamis i banita szukał wolności i poparcia u panów Królestwa. Szczęściem, biskup krakowski Gębicki i pan wojewoda sandomierski Myszkowski odmówili banicie glejtu...

— A jam wydał mu list żelazny — błyszczące oleścicie małe oczki spozierały wyzywająco na wysłannika królewskiego.

Butler zaciął palce na

Mnie dyshonor zadajesz? — Cherlawy starzec zgiął się jeszcze raz w pół i rozprężył w gwałtownym zamachnicie wyrzuconych w górę ramion. Czekan przeleciał nad głową podkomorzego o włos i ugodził spiczastym grotem w gipsowe obremowanie supraporty. Z obramowania posypał się biały pył.

Nie spuszczając z oczu rozsiadzonego starca, Butler cofał się do sali rycerskiej. Pan Zasławski pobiegł szybko jak szczur. W sali rycerskiej dopadł do ściany, porwał spiczasty prosty koncerz, długi na sześć do siedmiu stóp, zabiegł Butlerowi drogę i blysnął żelazem. — Zbój!



D. 1. 2.

odqTosy str. 9

Jak oglądać



Co oglądać?



W miarę sił, staramy się tłumaczyć, gdzie możemy i komu możemy, że oglądanie telewizji nie jest ani obowiązkiem, ani wyzwaniem konieczności (no, najwyżej dla nas) — dlatego też program należy uprzednio spokojnie przestudiować, wybrać odpowiednią pozycję, przyjąć odpowiednią pozę, ułożyć się bądź usadowić wygodnie i dopiero potem włączyć telewizor.

Higiena umysłu i higiena ciała — ot co, proszę państwa. I tak — dla przykładu — w CZWARTEK 14 BM, o godz. 20.15* decydujemy się na „Kobra”. Widowisko nosi wdzięczny tytuł „Imię twoje jest moim wrogiem”, reżyseruje Lidia Zamkow — w oczekiwaniu licznych sensacji przyjmujemy przeto wygodną i — co ważne — bezpieczną pozycję, jak na zdjęciu u samej góry. Możemy potem nawet miedle, ile serce zamarzy — nie grozi nam nic, a nie.

Audycji publicystycznych i reportaży należy wysłuchiwać raczej w pozie jak na zdjęciu numer dwa — znakomicie wypożyczamy, nie grozi nam uderzenie krwi do głowy, a nadto prawie na pewno nie zaśniemy, co sprawiłoby przecież realizatorom nie byle jaką przykrość.

Słowem jest to poza znakomita na PIĄTEK DNIA 15 BM, o godz. 18.50 z cyklu „Sylwetki kompozytorów” — posłuchamy z telewizyjną poznańską i dość historycznej postaci Wacława z Szamotuł, o godz. 19 Warszawa nada program dokumentalny „Obalony mur”, a o godz. 20.10** Łódź w programie lokalnym nada film radioteleki „W kręgu podejrzeń” dozwolony od lat dwunastu.



SOBOTA 16 BM, o 17 film francuski dla dzieci pt. „Dzielnik kaczuszek”, przerwa, o 18.55 magazyn telewizyjny „Nie tylko dla panów”, o 20 występ wokalisty Marii Drexniakówny, a o 20.15 film fabularny produkcji angielskiej „Szary lord” ze znakomitym aktorem Jamesem Masonem.

Te ostatnia pozycja radziwym stanowczo odradzać — może nawet leżąc już w łóżku w takiej

beztroskiej pozie, jak na zdjęciu u dołu kolumny.

NIEDZIELA 17 — pierwszy dzień świąt. Już o godzinie 14 dwugodzinna „Świąteczna biada” nadawana z Warszawy, potem krótka przerwa, a godz. 15.35 atrakcyjnie zapowiadający się teleturniej „Z melodii na ty”, o 17.35 program dla dzieci — „Mis z okienka” i widowisko pióra Heleny Chodźko „Eleonora”, dziennik, i o 18.15 retransmisja z warszawskiego teatru „Komedja” podobno wcale nie było przygotowanego wedywili Kramłowskiego „Królowa przedmieścia”.

O godz. 21.35 — „Niedziela sportowa”. Stanowczo radziwym wysłuchiwać tej audycji w pozycji kucznej.

Poniedziałek 18. IV (Apoloniusza) — drugi dzień świąt. Zaczynamy wcześniej rano, bo już o godz. 11.55 transmisja meczu piłkarskiego Polska — NRF ze Stadionu 10-lecia. Bardzo ważne dla kibiców — radziwym już poprzedniego dnia skrupulatnie wyregulować telewizor.

14.15 — coś dla dzieci i nie tylko dla dzieci: film produkcji polskiej „Awantura o Basie”. O godzinie 19.30 coś dla dorosłych, bo film produkcji francuskiej pt. „Niebezpieczna przysyłka”. I wreszcie koniec świątecznego programu wieńczy telewizyjna adaptacja nie znanej dotąd na naszych scenach opery G. Donizettiego pt. „Rita” w przekładzie Jerzego Sergiusza Adamczewskiego i reżyserii Andrzeja Boguckiego. Początek o godzinie 21.10.

* „Kobra” zresztą pójdzie zapewne z opóźnieniem, bo autorty programu najwyraźniej zapomnieli o 30 rocznicy śmierci Majakowskiego. Jak sobie przypomnia, to pewno coś wystawią cały program oczywiście się poklebasz.

** To nawet nieza godzina na wyświetlenie filmów właściwie dla dzieci.

TELEWIZJA temat śliski

Telewizja jest dziś tematem śliskim... Oto nam, którzy z tą szanowną instytucją mają mało wspólnego, tyle tylko, że raz w tygodniu o telewizji jako o dziedzinie sztuki pisają — dostają się do telewizji! Ze niby jesteśmy właściwie jak niemowlęta bezębni, że zamiast bić po programie jak po, za zaproszeniem kaczym tym no... samy wiecie, przechodzimy obok niej wobec nagminnego lekceważenia wielotyśięcnej rzeszy odbiorców programu, że nie zdajemy się brakami, które stanowią, niestety gros, a chwaliłyśmy gorąco osiągnięcia będące w zdecydowanej mniejszości. Stawiając zarzuty — wymienia się głównie pozycje programu tygodnia, posadzając nawet nas, że i my maczamy palce w tej publicystycznej wodzie...

Brrr!!! Nie będziemy się tłumaczyć. Pochwycimy jedynie myśl zrzuconą przez oburzonych widzów również na lamach „Głosu Robotniczego”, zajmijmy się sprawą kadr telewizji. O nie! Bynajmniej nie będziemy tu wystawiać cenzurę poszczególnym twórcom TV. Zajmijmy się sprawą od strony perspektyw szkolenia. Niedawno odbyła się narada zorganizowana przez PWSiP w sprawie naboru młodzieży do tej szkoły, kształcącej już dziś kadry nie tylko filmowe, ale i telewizyjne. Te ostatnie przygotowuje się tu do zawodu niejako na marginesie, do dziś bowiem nikt nie postarał się o to, by sprzecyzować warunki, jakim powinien odpowiadać przyszły pracownik telewizji. Kogo może wykształcić szkoła? Na pewno operatora filmowego potrzebnego w pracy telewizyjnej, na pewno kamerzystę, który będzie kierował kamerą telewizyjną, dalej może wykształcić reżysera (tu trzeba przyjąć warunek, że program studiów na wydziale reżyserskim będzie poszerzony o konieczne przedmioty „telewizyjne”), studium krytyki filmowej może ewentualnie przygotować paru pracowników koncepcyjno-programowych.

Program telewizyjny, jego jakość zależy od paru czynników. Ogólnie biorąc można je podzielić na dwie grupy: na te, które finansuje, a na te, które nie finansuje. W sprawie tych ostatnich, na brak których telewizja wciąż narzeka, trzeba będzie w miarę wzrostu liczby abonentów (ergo i wplac z ich strony) podjąć konieczne i korzystne reformy. W sprawie tych pierwszych jest trudniejsza. Powstał wraz z telewizją nowy zawód, zawód, do którego właściwie nikt u nas nie miał przygotowania. Mówiliśmy tu o realizatorach od srogu kamer, filmu, reżyserii, ale pozostają jeszcze pracownicy działów muzycznych. Kto ich ma kształcić? Skostniałe w swym programie akademickim uczelnie muzyczne? A dziennikarstwo? Naszym skromnym zdaniem właśnie brak dziennikarzy, których w korycie telewizyjnym muza pościawała w czoło, dziennikarzy ze znajomością warsztatu filmowego, obdarzonych wyobraźnią plastyczną, muzyczną, koncepcyjną, dowcipem, i rzetelną znajomością swego warsztatu, decydują o tym, że np. program publicystyczno-informacyjny tonie w powodzi rozmów, paplania, gadaniny „przy kawach”, a nie jest z e d a g o w a n y dla potrzeb TELE — bądź co bądź — WIZJI. Kto ma tych dziennikarzy kształcić? Kto ewentualnie weźmie na siebie obowiązek przeprowadzenia wielkiej akcji poszukiwania prawdziwych talentów i ich (co ważniejsze) przeszkolenia i (co najważniejszej) zatrudnienia w telewizji?

Konflikty, jakie powstają coraz częściej między telewizją a jej odbiorcami, są symptomatyczne dla naszych czasów. Jak można ten spór rozstrzygnąć? Chyba tylko w jeden sposób: zabudować jak najbardziej właściwy dobór kadr, a z drugiej strony rozszerzyć się o kontakt, o rozmowy z najszerszymi rzeszami widzów. Można to robić na drodze ankiet, poprzez kluby miłośników telewizji itd. Jednym słowem ci, co program robią i ci, co go odbierają, muszą sobie mówić jak najwięcej. Nie trzeba się bać tej rozmowy nawet wtedy, jeżeli jest ona dla telewizji nieprzyjemna...

„Telewizja słynie z niepunktualności” — z prasy



LEOPOLD BECK

Czy Dyzma robi karierę?

Już Dolega Mostowicz zaprzepścił karierę Nikodema Dyzmy.

Sama postać Dyzmy jest tego kalibru, co Don Kiszot lub Szwejk — pomysłem satyrycznym na skalę światową: osobnik o rażącym braku inteligencji, półtroglodyta, uchodzi w wyższych sferach przedwrześniowej Warszawy za wielkiego meza stanu i tegą głowę o oksfordzkiej erudycji. Misyfikator spod nędznej gwiazdy, któremu przypadkowo udało się mały epizod, obejmuje — prawie mimo woli — wielką rolę i gra ją z olbrzymim sukcesem. Los sprawił, że Dyzma ma okazję ukraść cudzy pomysł, nie pojmując w gruncie rzeczy o co chodzi. Ten półtroglodyta awansuje na coś w rodzaju nadczłowieka. By nie paść głupstwa — milczy, co w salonach przyjmowane jest za przejaw głębi umysłu, a gdy zdarza mu się coś powiedzieć wszyscy doszukują się w jego prymitywnych słowach jakiegoś subtelnych podtekstu i, chociaż Dyzmie brak orientacji nawet w prostych sprawach, uchodzi on za organizatora o niespotykanych zdolnościach.

Pomysł i postać satyryczna na wielką miarę! Ale Dolega Mostowicz zaprzepścił możliwość kariery Nikodema Dyzmy w literaturze światowej. Ambicje tego pisarza nie przekraczały powieści odcinkowej i oto ona: miast, powiedzmy — balzakowskiej socjologii, godnej postaci i tematu... musimy się zadowolić endekko-gazeciarską „historiozofią” (w zeszycie programowym Teatru 7.15 w rozbrajającym nawiązaniu sposobie akceptowanej... które to twierdzenie należy oczywiście przyjąć jako denuncjacje); „historiozofia” szukająca klucza do tego, co się dzieje w świecie, nie dostrzegającą klas, przy tym jeszcze dłuższymi, pornograficznymi upodobaniami i „odcinkowy” język. Ale, mimo wszystko, pomysł i postać na wielką miarę — i stąd stały i wielki sukces „Kariery Nikodema Dyzmy”, Pomyśl tak wielki i postać satyryczną tak atrakcyjną, że żadna adaptacja jej nie zaszkodzi; nawet ta, którą nam prezentuje Teatr 7.15 jako sztukę „osnutą na tle powieści T. Dolegi-Mostowicza.

Adaptacja i inscenizacja starała się o właściwe upolitycznienie tej przecież politycznej powieści. Osiaga się to przez napisy na wewnętrznej kurtynie, niby tytuły z gazet. Po odczytaniu tych napisów na kurtynie i wysłuchaniu hasel magnetofonowych, jestem niezachwiany w przekonaniu, iż sanacja doprowadziła Polskę do zuby.

Ale sprawa ma pewien haczyk. Zawsze, kiedy widzę jest

zmuszony do czytania kurtyny i słuchania hasel, powstaje we mnie pytanie, czy sam tekst sceniczny potrzebuje mocnego porparcia. W rzeczy samej: potrzebuje.

Adaptacja posiekała dzieje Dyzmy na siedem odsłon, a reżyser żąda, by widz w przerwach między odsłonami czytał kurtynę, słuchał hasel i starych szlagierów. Te ostatnie symbolizują razem z kurtyną, taniec nad przepaścią wrześniową.

Widać, że sztuka wymaga znacznie większej sceny, a jeszcze lepiej — większej i obrotowej. Rauty i fajfy nie udają się, kiedy jakieś eksocelencje i towarzysząca im świta mają ograniczoną swobodę ruchu — dwa kroki na lewo i trzy na prawo. Na miniaturowej scenie udają się tylko miniaturowi.

Reżyser przedstawienia nie wziął w garść Feliksa Żukowskiego, przeciwnie — pozwolił mu na grę zupełnie „pod publiczność”, czyli na aktorski catch-as-catch-can, byle tylko ludzie na widowni szaleli. Fakt — szaleją. Jedni tak, a drudzy nie. Trudno reżyser przedstawienia ma słabość do aktorów tej klasy, co Feliksa Żukowskiego. Był nim tak zaabsorbowany, że nie zauważył szeregu innych aktorów, którym — wobec niekiedy zupełnie papierowego tekstu — pomogłyby pomysły sytuacyjne, i zapomnieli o spektaklowi jednolitości: od sudermanowskiego naturalizmu (pierwsza odsłona) do groteski (mianowicie Wielkiego Trzynastego) oglądamy obrazy z różnych parafii teatralnych.

Aktorzy! Ciężko, gdy reżyser jest zapatrzony w Feliksa Żukowskiego! A jednak — Jadwiga Andrzejewska jako Walentowa, czyli jako personifikacja nędznego żywota i rezygnacji! I kto chce wiedzieć, jak wygląda naprawdę hrabia Ponimirski, obłąkany, nieszczerliwy, ale zabawny, musi zobaczyć Żbigniewa Starskiego. No i Janina Jaroszyńska (hrabina Przelecka) i Lechosław Litwiński (Tarkowski)... Ktoś inny pochwaliby, być może, i innych aktorów, bo jeden tak odbiera spektakl i gre, drugi inaczej. A recenzent, to też widzi, tylko, że złośliwy.

A Teatr 7.15! Czy zasługuje na wdzięczność publiczności, miasta i sztuki! Zda się, że tak. Za eksperyment, za odwagę.

Stanisław Powołodki „Kariery”, sztuka satyryczna w 3 aktach (1 odsłona) na tle powieści T. Dolegi Mostowicza „Kariery Nikodema Dyzmy”. Prapremiera w Teatrze „7.15” dn. 26 marca 1969 r. Reżyseria Feliksa Żukowskiego, scenografia Marian Stańczyk, opracowanie muzyczne Tadeusz Markowski.

KUPIĆ, NIE KUPIĆ

Odradzamy

Stanowczo odradzamy naszym czytelnikom kupno „Małego słownika wyrazów obcych” wydanego niedawno przez Wiedzę Powszechną. Do dziś nie wiemy komu i czemu ów słownik ma służyć. Znaleźć w nim bowiem można dziesiątki hasel objaśniających kto zacy chemik („specjalista w dziedzinie chemii”). Inżynier („tytuł zawodowy człowieka, który zdobył wyższe wykształcenie techniczne i może samodzielnie prowadzić prace w swojej dziedzinie”), czy student („słuchacz wyższej uczelni”) — brak natomiast całej masy obcych słów używanych szeroko w prasie i sprawiających nieraz czytelnikowi sporo kłopotu.

Czy będziemy mieli galerię sztuki? Niedługo obchodzić będziemy którąś tam z kolei rocznicę narodzin projektu budowy w Łodzi galerii sztuki. (Ośrodek Propagandy Sztuki w parku Sienkiewicza, jest jak wiadomo pomniejszeniem absolutnie nie nadającym się do ekspozycji wystaw malarskich).

I oto znów dowiadujemy się, że budowa nowej galerii, to słodka pieśń przyszłości. I to raczej tej dalszej. W każdym bądź razie w nadchodzącej pięciolatek nie przewiduje się tego rodzaju inwestycji.



— Mordercę zdradza najczęściej jego własna ofiara, sam fakt istnienia zwłok. Powstaje kluczowy problem: co zrobić z trupem — powiedział dr Matthews.

Slade skinął z aprobatą. W rzeczywistości choć tego nie ujawniał, znalazł tę sprawę lepiej niż dr Matthews, który rzecz traktował wyłącznie jako przypadkowy temat rozmowy.

Doktor kontynuował, zmierzając do konkluzji, dyskretnie podsuwanych przez Slade'a.

— W istocie, problem jest tak trudny, że zawsze się zastanawiałem nad glupotą morderców.

Jesteś ogromnie pewny siebie — myślał Slade — Stary, zrozumiałeś osie!

— Zawsze sądziłem tak samo — powiedział głośno.

— Wszystko sprowadza się do trupa. Użycie trucizny ułatwia policji zadanie. — I wystarczy najmniejsze podejrzenie, by zabójcę powiesić. Znam dobrze metody wykrywania trucizn — bo taki jest mój zawód — i nie sądzę, by nawet najwziętszy cwaniak mógł zataić fakt otrucia.

— Calkowicie się z panem zgadzam — powiedział Slade. Bo przecież wcale nie miał zamiaru posługiwać się trucizną.

Dr Matthews rozwijał logicznie swój wywód:

— Jeśli wykluczy pan truciźnę, wykluczy pan możliwość stwierdzenia, że zamordowany umarł naturalną śmiercią. Istnieje jeszcze inna metoda, aby trup nie świadczył przeciw mordercy: upozorować samobójstwo. Ale obydwa wiemy, że właśnie to jest niemożliwe. Policia bada dokładnie każdy taki wypadek. Jako prawnik, zna pan zapewne smutny finał tych naiwników, którzy usiłowali pozorować samobójstwo...

— Ma pan rację.

Pewnie, Slade sam przecież doszedł do wniosku, że pozorując samobójstwo młodego Spaldinga nie uniknie odpowiedzialności.

— A więc jesteśmy w punkcie wyjściowym. Pozostał tylko jeden sposób — ukrycie zwłok. Wbrew pozorom — sposób najtrudniejszy...

Skądże! Slade miał już za komity plan ukrycia trupa.

— Oskar Wilde opisał kiedyś zniszczenie ciała przy pomocy środków chemicznych. Ja jednak — równie doświadczonego — nie uważam tej metody za skuteczną.

— Naprawdę? — powiedział Slade. I pomyślał: — Ten Matthews jest jednak rzeczywiście głupi...

— Ciało ludzkie jest zbyt duże, ciężkie, nieporęczne, łatwo ulega zepsuciu. Niech pan przypomniał sobie tych wszystkich biednych szaleńców, którzy próbowali ukryć trupy w szafach, piwnicach, kurnikach. Nie można ukryć zwłok, niech pan spróbuj.

— Nie? Tak się tylko tobie zdaje — myślał Slade, lecz odparł głośno:

— Racja. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Oczywiście! Mądrzy ludzie wcale się tym nie zajmują, chyba zawodowo, jak w moim przypadku. A jednak ukrycie zwłok daje ogromną korzyść i bezinteresowność dla mordercy. Ten

moment powinien zainteresować pana jako prawnika. Istnieje taki dziwny, lecz nienaruszalny paragraf. Domyśla się pan — o czym mówię?

— Nie — Slade był naprawdę zdziwiony.

— Nie można wytoczyć procesu o morderstwo, dopóki się nie udowodni, że była ofiara. Chodzi o corpus delicti, chodzi o trupa, lub choćby tylko jego drobną cząstkę — jak w wypadku skazania dr Crippena. Nie ma zwłok — nie ma wyroku. Dobry paragraf, prawda?

— Naturalnie! — wykrzyknął Slade. — Dziwię się, że mi to wcześniej nie przyszło do głowy.

I zaraz pożałował swoich słów. Czy szczerość okrzyku nie wzbudziła podejrzeń? Swoją drogą, dziwne, że nie rozważył tego wcześniej. Oto jeszcze jeden uspokajający czynnik w całym planie zabójstwa młodego Spaldinga.

Ale dr Matthews niczego nie zauważył:

— Niestety, tak jest tylko w teorii. Praktycznie — całkowite zniszczenie lub ukrycie ciała okazuje się niemożliwe. Gdyby jednak mordercy udało się to osiągnąć — wówczas najmocniejsze podejrzenia nie wystarczą dla wyroku skazującego. Można by napisać powieść, szkoda, że żaden z nas nie jest pisarzem.

Slade roześmiał się. Nigdy nie będzie powieści o zabójstwie bezczelnego smarkacza — Spaldinga...

— I tak, nasza rozmowa była nieco makabryczna — powiedział Matthews — lecz na mnie już czas, muszę się wynosić, choć pogoda wcale do tego nie zachęca...

Pogoda rzeczywiście była podła. Gdy Slade żegnał doktora przy jego samochodzie, deszcz zmienił się w ulewę, wiał ostry, zimny wiatr. Lecz ta pogoda stała się sojusznikiem Slade'a. Dawała tym większą pewność, że nikt nie będzie ani na szosie ani na plaży... W salonie spojrzeli na zegarek.

Miał godzinę czasu, mógł raz jeszcze skontrolować wszystkie elementy planu.

Sprawdził wykres przyplwy i odpływów morza. Najniższy poziom wody przypada o godzinie 1.30

Spalding przyjeżdża pociągiem o północy...

Otworzył drzwi i przez chwilę nadstuchiwał. Cisza, mrs Publeton, gospodyni — musiała już być od dawna w łóżku. Głucha jak pień, nie usłyszy wyjazdu Slade'a.

Ani powrotu — gdy sprawa Spaldinga będzie już załatwiona...

Wskazówki zegara biegły szybko. Czy na pewno wszystko w porządku? Łańcuch i odważniki zostały przygotowane w samochodzie, jeszcze przed przybyciem doktora...

Slade wyjął z biurka proste urządzenie: pół metra miedzianej linki, oprawionej z każdego końca w drewniane uchwyty. Sprawdził wytrzymałość pętli, a potem schował wszystko do kieszeni.

Ponownie przypomniał sobie opis z książki, w jaki sposób Thugowie duszą swoje ofiary...

Mógł o tym myśleć zupełnie spokojnie. Ten Spalding jest szkodził wym wścibskim. Jedno jego słowo a Slade

będzie zrujnowany, wrócić do więzienia. Jakże prawo miał ten smarkacz, który ledwo dwa lata temu wrzucił do palestry — pogardzić człowiekiem siwym, znacznie starszym od siebie? Jakże miał prawo rujnować życie Slade'a? Jeśli nie — poza śmiercią — nie powstrzyma Spaldinga — niechże umiera!

Zgasił światło i wyszedł z domu. Nie poczuł nawet, że wiatr siecze w twarz lodowatym deszczem. Wyprowadził auto, starannie — choć wbrew swemu zwyczajowi — zamknął garaż. Aby wyjechać czyste nieskończenie małą szansę, że ktoś — w taką noc jak dzisiejsza — spostrzeże zaknięcie wozu.

Jechał pustą drogą. Było ciemno — dopiero z mostu

— Dobrze, że pana spotkałem. Wracalem właśnie do domu, zobaczyłem pociąg — i przypomniało mi się, że jest środa. Więc pomyślałem — mogę trochę zboczyć, żeby pana podwieźć.

— Jest pan bardzo uprzejmy.

— A właściwie — Slade cedził słowa, powoli prowadząc wóz — nie jestem zupełnie bezinteresowny. Chciałem pomówić o interesach.

— Teraz?

— Chodzi o te pieniądze... — Ach, tak — pisałem o tym do pana jeszcze w zeszłym tygodniu...

— Dostałem ten list. Ale tłumaczyłem panu już dawniej, że nie mogę uregulować sprawy, dopóki Hammond siedzi za granicą.

warto dalej ciągnąć dyskusję. Lepiej będzie chyba — jeśli teraz pójdę do domu — pieszo...

Chwycił za klamkę, a wtedy Slade zarzucił mu pętlę na szyję. Szczupła, koścista dłoń okazała się dość silna w tym decydującym momencie; sznur zacisnął się na gardle. Slade aż się uniósł, szalenczo zaciskając pętlę, dyszał chrapliwie. Lecz oddechu ofiary dawno już nie było slychać. Spalding stracił przytomność zanim skonął.

Nikt nie widział. Nikt się nie dowi. Metoda Thugów jest niezawodna.

Slade wygrał swoją stawkę. Pozostało mu tyle czasu, że doprowadził wszystko do porządku. Jego ostatnie spekulacje giełdowe dawały pomyslny zysk — uda się odrobić wszystkie straty. Teraz — pozostawało tylko zająć się trupem — a to precyzyjnie obmyślił. Umysł pracował dość sprawnie, aby nie popełnić omyłki.

Ułożył trupa w poprzek siedzenia, oparł go częściowo o drzewce. Skierował auto na środek drogi. Jechał szybciej niż poprzednio, gdy spierał się ze Spaldingiem. Do pełnego odpływu brakowało godziny, a miał przed sobą jeszcze kawałek drogi.

Wciąż wyl wicher, szumiała ulewa. W tym odludziu nie spotka żywej duszy. Znal drogę wysmienicie, mógł kierować niemal zupełnie na ślepo.

Zahamował wreszcie wóz na ostatnim odcinku drogi. O krok zaczynała się już rozległa płaszczyna piasku, niedostrzeżalnie opadająca ku odległemu w tej chwili morzu.

Było zupełnie ciemno, niebo bez gwiazd. Ostry deszcz przeniknął go dreszczem. Słyszał huk fal, daleki — woda była dwie mile stąd.

Obszedł samochód dokoła, otworzył drzewce. Trup wpadł mu prosto w ramiona. Ledwo go utrzymał, kiedy sięgnął na tylnie siedzenie po przygotowany balast.

Rozłożył odważniki równo miernie, po wszystkich kieszeniach ubrania Spaldinga. Okręcił zwłoki łańcuchem starannie szepcząc kołce. Z tą masą żelaza ciało nigdy nie wypłynie, gdy się znajdzie poza najdalszą linią odpływu.

Spróbował teraz podźwignąć trupa. Wyteżył wszystkie siły, aż się zatoczył — lecz nie dał rady. Był człowiekiem zbyt wąłej budowy i nie pierwszej młodości.

Na chwilę ogarnęło go zwątpienie. Lecz zaraz się opanował, postanowił jednak zmusić do posłuszeństwa słabe mięśnie.

Wykonał obrót, ciągle podtrzymując zwłoki. Podkurzył nogi, pochylił się — i niemal wpadł pod martwe brzemię, by zarzucić je sobie na ramiona. Zimne ręce Spaldinga zacisnęły na swej szyi, a potem, z konwulsyjnym wysiłkiem — opłóli jego nogi dokoła bioder. Umarły siedział na nim jak „na barana”. Mając pod brodą zwarte szczelnie

ręce zabitego, czując w pasie uścisk nieruchomych nóg — był teraz w stanie unieść ciężar.

Slade ruszył chwiejnie w stronę huczącego morza. Mokry piasek uginał się pod stopami — dlatego właśnie nie wjechał dalej samochodem. Nie mógł ryzykować ugrzęźnięcia.

Przenikał go lodowaty wiatr, ale nie czuł zimna. Morze było odległe — to zdecydowało, że wybrał takie miejsce. Przez długie miesiące zimowe nikt w czasie odpływu nie zapuścił się tak daleko.

Zatoczył się na piasku, jeszcze mocniej zacisnął wokół szyi i bioder martwe kończyny. Desperacko zmuszał się do wędrowki naprzód, bez odpoczynku. Już miał niewiele czasu. Szedł i szedł, łamiąc opór piasku i własnego chleractwa.

Wreszcie w zupełnym mroku ujrzał coś jeszcze bardziej ciemnego: wodę. Gdzieś dalej leżało źródło piekielnego huk. Tu, przy samym brzegu, toń była spokojniejsza.

Chciał postępować dokładnie, według planu. Zmusił się do wejścia w morze. Szedł dalej — by pozbyć się trupa tam, gdzie będzie dostatecznie głęboko. Miał wodę już powyżej kolan, ale postanowił twardo — będzie szedł, dopóki nie sięgnie mu do pasa. To powinno wystarczyć.

W końcu stanął, dokoła miał hucząca ciemność. Pochylił się, aby trup ześliznął się z pleców. Ani drgnął. Slade chwycił martwe ręce — nadal uparcie opłatały jego szyję. Szarpnął się dziko. Chwycił nogi Spaldinga — i one nie rozwarły się, ciasno zacisnięte na biodrach. W panicznym lęku ruszył naprzód, by uciec od trupa przykutego do pleców. Spalding nie puszczał, trzymał mocno jak żywy człowiek. Slade nie mógł przelać skostniałego uścisku, wszelkie trudy były bezowocne.

I wtedy nadszedł nowy wstrząs. Uderzyła fala, mozcząc go po szyję. Zaczynał się przyplwy, który na plaskim dnie pędził z szybkością konia.

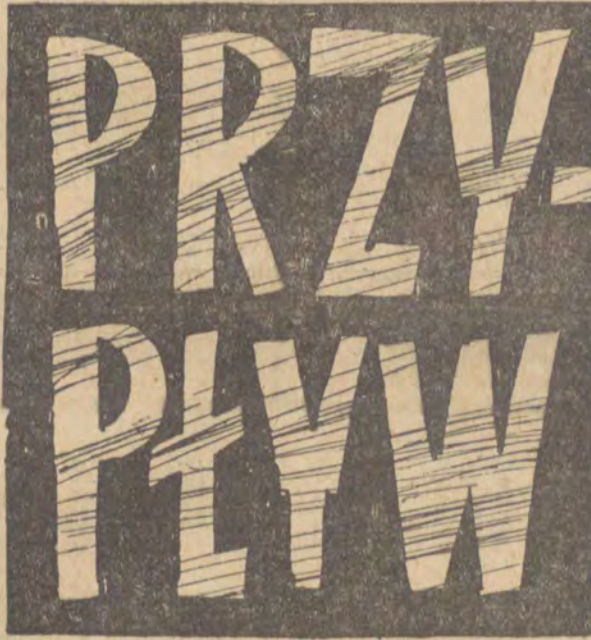
Znów zrobił wysiłek by odrzucić brzemię. Kiedy nie nie pomogło — owładnęła nim szaleńcza, jedyna myśl: uciec, uciec stąd — samemu, czy z trupem na karku, wszystko jedno!

Ale ponownie przecenił swe siły. Ciężar przytoczył go. Upadł.

Jeszcze walczył w pienistym, czarnym morzu. Zrobił kilka kroków, zachwiał się, znów upadł.

Tym razem już nie wstał. Ramiona Spaldinga zacisnęły mu się na gardle, dławiąc go, dusząc. Umarł na gładzie. Strudzone mięśnie Slade'a mogły nareszcie odpocząć.

Wg C.S. FORRESTERA opracował: J. W.



nad torami kolejowym zoba czył pierwsze światła na peronie stacyjki. Oczekiwano na pociąg — tym właśnie po wróci Spalding, który w każdą środę wyjeżdżał do filii swojej kancelarii, 60 mil stąd.

Slade kierował samochód w boczna ścieżkę, około czterech mil od stacyjki. Zawrócił wóz zgasił reflektory i zastąpił w spokojnym oczekiwaniu.

Pociąg był nieco spóźniony. Dopiero po kwadransie Slade ujrzał wytaczające się z zakrętu światła lokomotywy; nie słyszał przedtem turkotu kół, bo huczący wiatr i szum deszczu zagłuszały wszystko. Gdy pociąg ruszył w dalszą drogę, lampy na peronie zaczęły gasnąć jedna po drugiej. Zawiałowca wjechał się do domu, jego wieczorna służba dobiegła końca.

Po dalszych paru minutach na drodze okazał się Spalding. Miał twarz osłoniętą kapturkiem i nie mógł zobaczyć ciemnej masy samochodu na ścieżce. Slade policzył powoli do dwustu uruchomił motor i podążył za Spaldingiem. Zobaczył go znów w blasku własnych świateł, zjechał na bok, zahamował.

— Czy to Spalding — spytał, starając się zachować naturalne brzmienie głosu.

— Podwieźć pana?

— Dziękuję — w taką noc wędrować pieszo dwie mile...

Spalding wsiadł do samochodu, ruszył. Nikt nie widział. Nikt się nie dowi.

— Co ma do rzeczy Hammond? Dlaczego nie chce pan zaraz zwrócić pieniędzy? Tylko w tym wypadku mogę zatuszować całą historię...

— Mówiłem już, to dla mnie... niewygodne.

Slade zatrzymał samochód na skraju drogi.

— Uważaj Spalding — rzekł desperacko — nigdy dotąd nie chciałem od ciebie żadnej przysługi. Ale teraz proszę — odłóż tę sprawę. Tylko na trzy miesiące...

Miał mało nadziei, że Spalding go zrozumie. Tak mało, że sięgnął do kieszeni po pętlę. Przesunął rękę za plecami Spaldinga, jakby go obejmując.

— Nie mogę, naprawdę. Czy muszę przypominać, że mam jakieś obowiązki wobec własnych klientów, wobec prawa?

— Wiem — a mimo to proszę cię — zaczekaj. Błagam o zwłokę, Spalding.

— Rozumiem...

— Chcę mieć zaledwie trzy miesiące, tylko trzy... Przez ten czas ureguluję wszystkie moje sprawy — i zapłacę.

Spalding znał wielu ludzi, którzy mieli tę samą bezpodstawną ufność w swoje możliwości. Na nieszczęście — Slade użył teraz podobnych obietnic. Spalding zdecydował się nie ustąpić.

— Nie mogę obiecywać za dnej zwłoki, i wątpię, czy



BABKA na ŚWIĘTA:
Stella Stevens

EKRANIK

W DRUGIEJ POŁOWIE KWIECZNIA reż. Maria Kaniowska rozpoczyna zdjęcia do filmu „Szatan z 7 klasy”, według najpopularniejszej powieści Kornela Makuszyńskiego. Główne role zostały już obsadzone. Postać ślicznej Joasi o fiołkowych oczach odtwarzać będzie debiutantka, studentka Uniwersytetu Wrocławskiego.

Przy okazji warto przypomnieć, że to już druga wersja „Szatana”. Poprzednią kręcono tuż przed wojną, a zrealizowany materiał niestety przepadł we wrześniu 1939 r.

MIA ROK od zamknięcia konkursu na scenariusz filmowy o tematyce współczesnej. W międzyczasie konkurs został rozstrzygnięty, przyznano nagrody i wyróżnienia. Cała impreza zakończyła się jednak potężnym fiaskiem: ani jeden z konkursowych scenariuszy nie został skierowany do realizacji.

DOCZEKAMY SIĘ wreszcie filmów Walta Disneya. W łódzkim Studio Dubbingowym reżyser Romuald Drobaczyński rozpoczyna opracowanie polskiej wersji „Przygód Piotrusia Pana”. Film jest rysunkowy, barwny, pełnometrażowy. A co najważniejsze — wraz z innymi zakupionymi do Polski obrazami Disneya — wypełni dotkliwy brak filmów dla dzieci w repertuarze naszych kin.

A JEDNAK zostanie zrealizowana filmowa wersja świetnego opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza — „Matka Joanna od Aniołów”. Reżyseruje Jerzy Kawalerowicz, operatorem będzie Jerzy Wójcik.

KIEROWNICTWO PRODUKCJI filmu „Krzyżacy” postanowiło nie udzielać żadnych informacji przedstawicielom tygodnika „Film”, ponieważ dziennikarze warszawscy ponoć „pisali nieobiektywnie” o przebiegu prac nad sienkiewiczowską adaptacją. Takie sankcje — to wypadek chyba bez precedensu! Nie pochwalamy!

CO MOŻE UZDROWIC polską komedię filmową? Zbawiennych rad w tej niebagatelnej sprawie udziela w 14 numerze „Filmu” reżyser Jan Rybkowski, twórca „Anatoli”...

DONALD

O filmowej podróży na Wenus

OPOWIADA inż. ANATOL RADZINOWICZ

Anatol Radzinowicz należy do czołówki polskich scenografów filmowych. Z filmem spotkał się w 1938 r. będąc jeszcze studentem praskiej architektury. Pierwsze doświadczenia zdobywał przy głośnym filmie J. Duviviera — „Golem”. Długą listę 36 filmów, dla których projektował oprawy plastyczne, otwierają „Zakazane piosenki”. W ciągu tych lat był budowniczym Trasy W-Z w „Piątce z ulicy Barskiej”, zasadził wietnamską dżunglę w „Opowieści atlantyckiej” i wyczarował dywanowe ogrody w „Królu Maciusiu I”.

— Z okazji ukazania się „Milczącej gwiazdy” wiele mówią o Panu. Z czego filmu najwyżej oceniono pracę scenografa.

— Wszystko z powodu Wenus. Gdyby akcja toczyła się na Ziemi nikt by o mnie nie wspominał.

— Jest Pan pierwszym człowiekiem, który „zdobył” Wenus, co więcej — stworzył pejzaże i miasto wenusjańskie. Czy sięgnął Pan po pomoc do astronomii, astro-

nautyki lub innych nauk o kosmosie?

— Tempo produkcji nie pozwala na precyzyjne studia. Wenus nie można obejrzeć nawet przez doskonały teleskop, spowija ją szczerlnie pokrywa mgieł i gazów. Pracowałem metodą „Turka”.

„Turk” radzi się żony — potem robi, jak sam uważa. Sprawa nie ograniczała się do zaprojektowania powłóczni planety. Głównym zadaniem było stworzenie szczytków

wysoko rozwiniętej cywilizacji tamtejszych mieszkańców. Łatwo można było znaleźć się na pograniczu operetki i zamiał wrażeń grozy uzyskać efekt komiczny.

— Były głosy, które zarzucały realizatorom sposób przedstawienia rzeczywistości ziemskiej. Mówiono, że technika na Ziemi jest przestarzała, na lotnisku jeżdżą wylisami, a na statku międzyplanetarnym stoi tokarnia wólczesna.

— Takie było założenie reżysera. Chciał zasugerować, że start nie odbywa się w dalekiej przyszłości, lecz niemal w dniu dzisiejszym. Dlatego np. stroje na Ziemi są zupełnie współczesne.

— Czy miał Pan podczas realizacji problemy, które nie dawały spać?...

— Tak. Sekwencja plazmy. Po długich próbach i eksperymentach zdecydowałem się użyć do tego celu kleju roślinnego. Biały klej, który kupiłem można w każdym sklepie, zabarwiony na czarno, posiadał konsystencję umożliwiającą osiągnięcie wielkich bąbli, które oglądaliśmy na ekranie.

— Jak długo trwała wybieczka na Wenus?

— Okres projektowania trwał trzy, a realizacja 7 miesięcy.

— Czy mógłby Pan któregoś dnia wieczorem pokazać mi na niebie „Milczącą gwiazdę”?

— Mówią, że nawet gołym okiem można rozpoznać Wenus. Niestety z tej gmatwaniny gwiazd nie umiem jej wyszukać. Nie wiem nawet, na którą część nieba należy patrzeć...

Rozmawiał
MAREK NOWICKI



BABKA NA ŚWIĘTA:
Juliette Mayniel

WYPRAWA NA DWIE SERIE

Jeśli ktoś znęcony obietnicą tytułem szukać będzie w „Wyprawie za trzy morza” okazji przeżycia dalekiej, egzotycznej podróży z jej wszystkimi trudnościami, atrakcjami i niespodziankami, wyjdzie z filmu rozczarowany. Jeśli natomiast ktoś lubi baśnie i umie wczuć się w ich konwencje i uraki, ten będzie chyba wygrał z utęsknieniem końca podróży kupca Nikitina.

Radziecko-hinduski, dwuseryjny film „Wyprawa za trzy morza” to baśń o szlachetnym kupcu, którego chęć poznania świata i ludzi, oraz nawiązania stosunków handlowych między Rusią a dalekimi krajami — zawiodła do Indii. Wyprawa Nikitina jest czymś w rodzaju piętnastowiecznej „podróży przyjaźni”.

Afanasiej Nikitin ucieleśniał w sobie wszystkie cechy pozytywnego bohatera baśniowego: jest rozumny, szlachetny, odważny i przyjacielski. Ten szereg przymiotników, użytych dla określenia osoby Nikitina nie jest przypadkowy, taką metodą

twórcy „Wyprawy” charakteryzują w myśl konwencji baśniowych wszystkie postacie filmu. Nikitin spotyka na swej drodze tylko ludzi do brych lub złych — w baśni nie ma miejsca na niuanse psychologiczne. Rozpoznajemy wśród nich znane typy władców: mądrego i życzliwego pacyfistę oraz złego, zaradczego agresora. Pokazano nam figurę lotra — obok postaci, ucieleśniającej mądrość ludu — pieśniarza, poety i przyjaciela. Poznajemy wreszcie baśniowe kobiety: łagodne, posłuszne i ich przeciwności — kobiety kapryśne, ale za to bardziej czarujące. Postacie to wyznaczają poszczególne etapy podróży Nikitina, bądź powodując perypetie naszego bohatera, bądź też pomagając je rozwiązać.

Podobnie wszystkie przygody kupca utrzymane są konsekwentnie w baśniowej konwencji. Na skraju katastrofy Nikitina zawsze wybawia jakiegoś nadzwyczajnego wydarzenia lub spotkanie; o krążenie na początku wyprawy nie przeszkadza bohaterowi w kilkuletniej po-

dróży; nie istnieją wreszcie dla niego przeszkody językowe.

Z tymi wszystkimi uproszczeniami możemy się ostatecznie zgodzić, jeśli film o Afanasieju Nikitinie traktujemy tylko jako baśń. Ten moment jednak nie potrafi wyflumaczyć nieznośnie wolnego tempa narracji. Zaciężyła tu hinduska konwencja polegająca na wprowadzeniu długich partii wokalnych i tanecznych, wciskanych w opowieść trochę „na siłę”.

Niejedną partię filmu ratuje piękny, autentyczny krajobraz, który stał się niemal równorzędnym partnerem dla odtwórcy roli głównego bohatera — sympatycznego Olega Striżenowa.

EWA NURCZYŃSKA

P. S. Czy nieuprzedzenie publiczności w prasowych a-nonsach, że film jest dwuseryjny, należy do finansowej polityki Okręgowego Zarządu Kin?

E. N.

ZA czy PRZECIWIW kinu aktualności?

Wielokrotnie na tym miejscu pisaliśmy o potrzebie i celowości zorganizowania na terenie Łodzi kina filmów krótkometrażowych, tzw. kina aktualności. Poruszaliśmy również sprawę organizowania corocznych ogólnopolskich Festiwalu Filmów Krótkometrażowych. Ponieważ do tej pory wszystko jest w sferze projektów i wypowiedzi tylko prasowych, postanowiliśmy uzyskać opinie bezpośrednio zainteresowanych.

Oto wypowiedź dyrektora Okręgowego Zarządu Kin w Łodzi p. Kuleszy:

NIE — O kinie aktualności dużo się pisze. Ze swej strony jesteśmy nastawieni sceptycznie co do frekwencji, a więc i co do rentowności takiego kina w Łodzi. Z powodu słabej frekwencji musieliśmy przed kilku laty zlikwidować kino aktualności w „Gdyni”. Obecnie filmy krótkometrażowe wyświetlane są jako dodatki przed filmami fabularnymi. Uważam, że ten system rozpowszechniania filmów krótkometrażowych, stosowany zresztą na całym świecie jest wystarczający. Jeśli zaś chodzi o Festiwal Filmów Krótkometrażowych, to do jesieni mamy wiele czasu.

TAK Na ten sam temat wypowiada się dyrektor Łódzkiej Ekspozycji Centrali Wynajmu Filmów p. M. Garlicki. — Kino filmów krótko-

metrażowych lub też kino aktualności jest Łodzi bardzo potrzebne. Kino takie umożliwiłoby nam eksploatację nie tylko na dobrym poziomie artystycznym stojących filmów dokumentalnych, lalkowych i rysunkowych, ale również filmów dokumentalnych pełnometrażowych, których nie ma my gdzie rozpowszechniać. W przeciwnym razie do okresu sprzed kilku lat możemy obecnie dać co tydzień nowy, ciekawy i różnorodny zestaw filmów krótkometrażowych. Będą to premiery nowych filmów i wznowienia najwartościowszych filmów dawniej wyprodukowanych. Do tych zestawów gotowi jesteśmy dołączyć najnowsze wydania Polskiej Kroniki Filmowej. Poza tym — według nas — najlepszym systemem pracy takiego kina byłby system „non-stop” stosowany w niektórych kinach przed wojną, a obecnie wprowadzany w kinie „Atlantyk” w Warszawie. Festiwal Filmów Krótkometrażowych uważamy za imprezę godną poparcia i corocznego organizowania.

Zrelacjonowaliśmy poszczególne wypowiedzi. Nasze propozycje streszczają się w trzech zasadniczych punktach.

- 1) Należy utworzyć w Łodzi kino aktualności. Najlepiej nadaje się naszym zdaniem do tego celu sala kina „Adria”.
- 2) Wprowadzić w dniem do tego kina system pracy „non-stop”.
- 3) Zorganizować w roku bieżącym II Festiwal Filmów Krótkometrażowych obejmujący pozycje najwartościowsze wyprodukowane w kraju i za granicą.

Zastrzegamy się, że do poruszonych spraw w dalszym ciągu będziemy powracać. Czekamy też na listy czytelników.

Rozmawiał i notował
ALEKSANDER NIEMIĄLEK

TAK Dyrektor Studia Filmów Lalkowych w Tuszynie p. Brudzyński.

— Kino aktualności powinno powstać jak najszybciej. Widzowie pytają w listach do nas, dlaczego nie ma filmów lalkowych na ekranach. Uroczomienie takiego kina rozwiązałoby sprawę eksploatacji naszych filmów, których w roku bieżącym wyprodukujemy około 15. Dość muszę tu jeszcze liczyć 10 filmów rysunkowych, które odda do dyspozycji CWF Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku. O dobrym poziomie naszych filmów świadczą chyba nagrody zagraniczne i zapotrzebowanie na nasze filmy w innych krajach. Przyszłe kino filmów krótkometrażowych nie powinno więc narzekać na brak dobrego artystycznie i urozmaiconego repertuaru.

TAK Mówi redaktor Biura Studiów WFO p. J. Tuwim.

— W ciągu bieżącego roku WFO skieruje do rozpowszechnienia około 100 filmów popularno-naukowych, dostępnych dla tak zwanego przeciętnego widza. Oczywiście, pominąłem w tej liczbie filmy instruktażowe i szkolne produkowane na specjalne zamówienia instytucji oświatowych i naukowych.



Mylene Demongeot

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 95. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. * Redakcja nie zamawia żadnych reklam. * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłoszy”. Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 Z. 1145. 1960 r.

R-4

